

Antologia SF

Różni

Książka XXI z Stało się jutro



calibre 0.9.43

STAŁO SIĘ

JUTRO

Gabriela Górska

Kolejne ogniwo

Punkt odniesienia

Zamknięty krąg

Kolejne ogniwo

Ryan kończył dyŹur o ósmej, była dopiero siódma i ta ostatnia z wielu godzin spędzonych w stałym napięciu pomiędzy salą operacyjną a blokiem reanimacyjnym wydała mu się nagle trudniejsza do zniesienia niŹ cała ubiegła noc. Był zmęczony, był piekielnie zmęczony. To miało takŹe i swoją dobrą stronę: w zmęczeniu nie chciało mu się myśleć, zastanawiać nad czymkolwiek; mógł odsuwać od siebie to wszystko, co zdarzyło się w gmachu NajwyŹszej Rady przed jego ostrym dyŹurem, mógł nie pamiętać, Źe owo posiedzenie, po którym obiecywał sobie tak duŹo, stało się jego ostateczną, nieodwracalną klęską. Usiadł na brzegu stołu, przesunął ręką po twarzy — dwudniowy zarost zaskrzypiał nieprzyjemnie, czuł się brudny i lepki, śmierdział środkami dezynfekcyjnymi, eterem i lichy wie czym jeszcze. Skrzywił się, wstał, podszedł do umywalni, zaczął myć ręce — mył je długo, dokładnie, z jakąś zimną i tępą furją, jakby w ten sposób mógł zmyć z siebie wielogodzinne zmęczenie; dwudniowy dyŹur, w tym osiem godzin na nogach, osiem godzin najwyŹszego napięcia odczuwanego zawsze przy operacjach częściowych przeszczepów mózgu. I jakby tego teŹ mógł się pozbyć w ten sposób: gorzkiego poczucia

nieodwracalnej klęski.

Kiedy sięgnął po ręcznik, zielonozłote oko aparatu teletextu rozjarzyło się pulsującym, niecierpliwym wezwaniem.

Wcisnął czarny przełącznik, ale na ekranie nie pojawiła się twarz dyktującej z nim razem pielęgniarki, pozostał ciemny i pusty: ten, kto chciał z nim mówić, chciał tak, by jego twarz pozostała nieznaną — i Ryan wiedział z góry, co usłyszy za chwilę.

— Doktorze Raiston — ten sam głos słyszał już dwukrotnie tej nocy, głos powolny, przerywany zadyszką (głos astmatyka

— określił Ryan odruchowo), a jednocześnie pewny siebie, rozkazujący głos człowieka nie przywykłego do napotykania czyjegokolwiek oporu. — Doktorze Raiston, dajemy panu milion. To już ostatnie słowo. Niech pan się zastanowi...

— Nie — odpowiedział natychmiast. Własny głos wydał mu się bardziej niż kiedykolwiek znużony, nie było w nim przekonania. — Mówiłem już dwukrotnie: ta propozycja mnie nie interesuje.

— Czy rzeczywiście? — tamten był ciągle spokojny, pewny siebie; Ryanowi wydało się nagle, że musiał już kiedyś słyszeć ten tak charakterystyczny głos. — To jest dla pana niepowtarzalna szansa zastosowania pańskich badań w praktyce. Jedyna — teraz, gdy Rada...

— Skąd pan wie?

— Œ Rada Naukowa zabroniła panu dalszych prac w tym kierunku? NiewaŒne — skąd. WaŒne, Œe wiem. Współpraca z nami stworzy panu warunki...

— JuŒ powiedziałem: nie interesuje mnie to.

— Czy milion takŒe nie interesuje pana, doktorze? Ani to wszystko, co w naszym Œwiecie moŒna mieć za ten milion?

—Nie.

Uderzył w klawisz, gwałtownie przerywając połączenie.

Przez chwilę stał nieruchomo, wpatrzony w milczący, ciemny aparat — zielonoŒólte oko nie rozjarzyło się po raz drugi, tamten widocznie zrezygnował z dalszych prób połączenia.

Wychodząc strzelił drzwiami — sam nie wiedział dlaczego.

Szedł szybko korytarzem, szybciej, niŒ to było konieczne, jakby od czegoś czy od kogoś uciekał — gdyby go zapytano, nie umiałbym powiedzieć, przed kim właściwie chciałby uciec w ten sposób: przed tamtym czy przed sobą. Z

przeszklonej, migającej Œwiatłami kontrolnych monitorów, dyŒurki wybiegła pielęgniarka — jej twarz pod skośnym skrzydłem sztywnego czepka wydawała się prawie biała, nawet usta miała bledsze niŒ zwykle.

— Doktorze — była młoda, przejmowała się łatwo i Ryan pomyślał, Œe trzeba jej jeszcze sporo czasu, aby mogła nauczyć się patrzeć obojętnie na wszystko, co działo się

wokół niej. — Doktorze... Ta dziewczyna... Sala trzysta czterdzieści jeden... To chyba już... Zawrócił. Biegł prawie — on tak się nie potrafił jeszcze przechodzić nad tym do porządku dziennego, traktować umierania i bólu jak rzeczy całkiem zwyczajnej. Nie potrafił — pomimo tylu lat.

Tak. To było — już. W twarzy dziewczyny leżącej w słonecznej plamie światła na pociemniałych od potu, zakłębionych poduszkach, zobaczył to niezwykle skupienie, osunięcie się w sobie — jak gdyby człowiek schodził w ogromną, nie znaną dotąd pustkę gdzieś w nim samym — to wyostrenie rysów, czujne, prawie bolesne wsłuchanie się w coś niepojętego, co dzieje się z nim wtedy — jakie widywał zawsze na twarzach konających. Pasemko ciemnych włosów, zmatowiałych i szorstkich, przywarło do spoconego policzka, oczy zapadły pod wzniesionymi nagle / łukami czołowymi, w kąciaku nie domkniętych ust z każdym wysiłonym oddechem pęczniał bąbelek śliny. Może poczuła jego cień przesuwany się po jej wzniesionej twarzy, bo pociemniałe powieki rozwarły się nieznacznie — wąską szparą spojrzwały na niego mętniejące, przekrwione oczy.

— Doktorze... Boli... Jak boli... Czy... jeszcze długo?

Tu już nic nie mógł pomóc - zrobiono wszystko, co tylko było możliwe: w zapadłe świąt, ledwie widoczne przez skórę zsiniałą od wielkich, płytkich wylewów tworzących się przy

każdym ułuciu, sączyły się kroplówki, miarowo błyskał stabilizator serca, wprowadzoną przez nos plastikową rurką szedł do płuc tlen. Aparat diagnostyczny połyskliwą, spłaszczoną czaszą wznoszący się nad łóżkiem obejmował jej głowę przyssawkami elektrod, jego kontrolne światła paliły się czerwono, sygnalizując zamieranie wszystkich życiowych funkcji.

Mógł jeszcze tylko być przy niej, skoro to, czego umierający potrzebowali najbardziej, to była czyjaś obecność, współczucie — drugi człowiek. Skoro tak bardzo bali się samotności w tej ostatniej godzinie bólu i lęku. Coś mówił, dawał zastrzyk. Nie pamiętał. Nigdy zresztą nie pamiętał tego, co robił: robiąc wszystko, co właśnie zrobić powinien, nie w pełni uświadamiał sobie własne działanie; pracował w nim już nawyk, wieloletnia rutyna. Dopiero kiedy umarła i zielonkawa linia elektroencefalogramu w ekranie stała się całkiem płaska, poczuł swoje znużenie — był teraz pusty, jak gdyby zbędność wszystkich jego z góry skazanych na niepowodzenie wysiłków, ich gorączkowość była czymś ponad siły. Ogarnęło go zwykłe w takich momentach poczucie beznadziejności; czuł całą własną bezradność i bezcelowość ludzkich usiłowań nie mogących zapobiec śladnej ostateczności, niczego przeciwstawić bólowi i rozpacz.

Siedział bez ruchu na brzegu łóŜka wdychając zapach lekarstw, potu i śmierci, którym przesiąkło powietrze w małej sali, i czując ciepło słońca na zarośniętym policzku; nie był w stanie się ruszyć. I właśnie gdy tak siedział, wróciło znów wspomnienie tej chwili w auli Rady, kiedy nad pulpitemi zaczęły błyskać czerwone krople światła. Teraz juŜ tego nie odsuwał od siebie, nie starał się zapomnieć. MoŜe dlatego, Ŝe przedtem — tylko przyrzekł, tylko się z tym pogodził.

Teraz dopiero zaczynał ich decyzję rozumieć. ... nad pulpitemi błyskały czerwone światła. Jeden po drugim zapalali je wszyscy członkowie Rady, NajwyŜszej Rady Naukowej Ziemi. Jeden po drugim decydowali: nie. Stał w Ŝrodku sali, na niezbyt wysokim podium, z którego mógł dokładnie widzieć te twarze: zamyślone, skupione, spokojne w swoim zdecydowaniu — i w ustach mu zasychało. Nie miał juŜ argumentów, a gdyby je miał nawet, nie zdołałby ich logicznie powiązać, nie potrafiłby bronić swego punktu widzenia. Wobec czerwonych światła był całkowicie bezradny. Chciał jeszcze tylko wiedzieć — zadać jedno, ostatnie juŜ pytanie. Więc kiedy znowu udzielono mu głosu, zaraz po tym, jak Przewodniczący ogłosił, Ŝe Rada Naukowa Ziemi zabrania mu dalszych badań — powiedział:

— Dlaczego?

Nikt mu nie odpowiedział — stał samotnie naprzeciw tych

wszystkich twarzy, milczących twarzy największych
naukowców, jacy żyli na Ziemi, specjalistów ze wszystkich
niemal dziedzin. Milczeli ciągle. Miał już powtórzyć pytanie,
gdy z pierwszych rzędów podniósł się siwy i barczysty
Ikarow, z którego podręczników etyki uczyło się już drugie
pokolenie. Jego twarz była taka jak na okładkach owych
dzieł naukowych: twarz, której profil — dziwny, jakby
wpisany w okrąg, liniami nosa i czoła mówiący wyraźnie o
odległych, trackich przodkach — zapamiętywało się łatwo i
na zawsze, twarz mądra i brzydka, taka, jaką Ryan znał z
dawnych uniwersyteckich wykładów
— Ryan — mówił wolno, wyraźnie dzieląc słowa, jego głos
słyszeć było w najdalszym kącie sali; Ryan poczuł
wdzięczność za to, że profesor zwraca się doń tak właśnie
jak dawniej, imieniem, nie nazwiskiem. — Wiem, że wciąż
nie rozumiesz, jeszcze nie możesz pojąć. że werdykt Rady za bardzo cię zaskoczył. Ale nie
odpowiem ci wprost. Chcę,
żebyś sam zrozumiał i sam zdecydował. żebyś przez
chwilę — ty także — poczuł się jednym z nas.
— To przecież jest możliwe. W moim rozumowaniu nie ma
żadnego błędu.
— Tak. Z tego wszyscy zdajemy sobie sprawę.
— Więc dlaczego?
— Pomyśl: odkryłeś drogę, po której idąc ludzie mogą stać
się twórcami żywych istot, czujących i myślących tak samo

jak i my. Nie popełniłeś błędu — to jest istotnie możliwe.

Więcej: jak tu udowodniłeś, jest to zupełnie łatwe. Ale nie pomyślałeś, co dajesz przez to do rąk istoty nazwanej homo sapiens.

— Możliwość zasiedlania wszystkich, nawet najdalszych planet Układu Słonecznego przez czujące i rozumiejące w ten sam sposób co i my istoty, których organizmy mogą będzie zbudować w taki sposób, aby warunki panujące na tych planetach nie były dla nich zabójcze. Albo zdolne zasiedlić i eksplorować oceany Ziemi. Braci w rozumie, będących tego homo sapiens uzupełnieniem, których na próżno — jak dotąd — szukał w układach innych gwiazd.

Tych, którzy — razem z człowiekiem — utworzą wielką, kosmiczną rodzinę Istot Rozumnych, zdolną stworzyć cywilizację międzygwiazdową, potęgę, jakiej podstawą nie mogła stać się jedna, niezbyt wielka planeta...

— Cóż, chyba istnieje taka możliwość... Ale nie tylko. Bo ktoś może zaręczyć, że zamiast braci w rozumie — jak to nazwałeś przed chwilą — ludzkość nie zechce stworzyć sobie niewolników, istot uznanych za coś od siebie niższego.

które — jak do niedawna zwierzęta — będzie wolno zmuszać do pracy ponad siły, dręczyć, a nawet zabić? Albo może lepiej niż on sam, człowiek, przystosowanych do walki, których rękami mogą będzie rozstrzygać wszelkie konflikty.

juŜ z góry rozgrzeszając się z kaŜdej masakry? Podobnych moŜliwoŝci jest nieskończenie wiele. Nie mówiąc nawet o tym, czy moŜesz im zapobiec — czy zdołasz choćby przewidzieć je wszystkie?

Spróbował zwilŜyć językiem zaschłe wargi; mówiło mu się z trudem, głos był chrapliwy i płaski:

— Nie... Tego nie potrafię. Nikt nie jest w stanie...

— A przecieŜ naukowiec jest w pełni odpowiedzialny za to,

co razem ze swoim odkryciem daje ludzkości, i musi przewidzieć konsekwencje, jakie mogą przynieŝć jego

wynalazki. Inaczej to, co stworzy, moŜe obrócić się przeciw tej ludzkości. Jak choćby rozbitcie atomu.

— PrzecieŜ od tamtych czasów ludzkoŝć...

— Nie. Mylisz się. WciãŜ jeszcze nie doroŝliśmy do tego,

aby móc dostać wszystko. A moŜe nawet nie stanie się to

nigdy. Właŝnie dlatego powstała NajwyŜsza Rada... I dlatego spytałem: czy potrafisz przewidzieć, co moŜe zrobić człowiek

wyposaŜony w szansę tworzenia ŝywych istot? Czuł wokół

siebie skupione oczekiwanie milczãcej, pełnej ludzi sali ta

cisza przeciągała się coraz bardziej, stając się czymś

nieomal dotykalmym, przytłaczała. Ikarow zaczął mówić

dalej:

— Ale to jeszcze nie wszystko. Twoje odkrycie jest

przypadkiem szczególnym, mogącym godzić nie tylko w

samą ludzkość. żeby tworzyć nowe formy istnienia i z całą świadomością przyjąć odpowiedzialność za akt kreacji i los stwarzanych musi się być szaleńcem albo po prostu bogiem. Szaleńcem, by nie dostrzegać konsekwencji, jakie stworzenie Śycia musi pociągać za sobą. Bogiem - Śeby mieć dosyć siły. aby nieuchronnemu w takim przypadku złu umieć zapobiec. Jak wiemy, bogów nie ma -- a w kaŜdym razie ty bogiem być nie moŜesz. Więc będziesz siłą sprawczą, która zdolna jest tylko nadać ten pierwszy impuls, w nic juŜ więcej nie wyposaŜoną:

ani w mądrość, pozwalającą przewidzieć, czym stanie się twoje dzieło, ani teŜ w umiejętność naprawienia tego, co raz zostanie stworzone. Wobec wszystkich następstw własnego czynu całkowicie bezradną... Przerwał na chwilę i znowu cisza zaczęła się rozrastać, wypełniać całą salę. Kiedy zdawała się juŜ nie do zniesienia, Ikarow podjął znowu:

— Czy pomyślałeś o odpowiedzialności, jaką na ciebie — a w razie akceptacji twych dalszych prac takŜe i na Radę — złoŜyłoby stworzenie istot rozumnych, czujących, zdolnych cierpieć, bać się, rozpaczać? Czy nigdy nie pomyślałeś, Śe tworząc Śycie stwarzasz takŜe ból. umieranie — kaŜdy strach, kaŜdą mękę znaną Śywej istocie? A wiedząc o tym i nie umiając temu w Śaden sposób zapobiec — czy miałbyś dość odwagi wziąć to na siebie, czy znajdziesz cel dość

wielki, by to usprawiedliwił?

Milczał. W ogromnej ciszy sali słyszał szybkie i głucho bicie swojego serca. Czuł się jak ogłuszony. Nie zauważył, kiedy Ikarow usiadł, kiedy przewodniczący, nukleonik O'Brien, wstał ze swojego miejsca.

— Doktorze Ralston, czy rozumie pan teraz motywy decyzji zabraniającej panu wszelkich prac nad tematem, będącym przedmiotem dzisiejszych obrad Rady?

— Tak.

— Czy godzi się pan z tą decyzją?

— Tak.

— Czy złoczy pan przyrzeczenie, że nie tylko nie będzie pan kontynuował badań, ale zniszczy wszelki ślad już

przeprowadzonych? I że będzie pan milczał. Milczał

o wszystkim, co zaszło na tej sali, a także — że na zawsze przemilczy pan nie tylko swoje odkrycie, lecz i możliwość jego dokonania?

Mimo tego. co usłyszał, poczuł ból — nieważny, a przecieś dojmujący. Na chwilę powróciła świadomość własnej przegranej, zawiedzionych nadziei, poczuł znów gorę bezcelowego buntu. Usłyszał swój głos — zdecydowany, wyraźny:

— Przyrzekam.

Światło słońca zalewało już teraz całą salę, w nagrzanym powietrzu szpitalny zapach stawał się bardziej intensywny,

trudny do zniesienia. Wstał, znów przeciągnął ręką po zarośniętej twarzy i mrużąc oczy przed tym jaskrawym blaskiem patrzył chwilę na zmarłą; w ściągnięciu brwi, w grymasie nie domkniętych ust odsłaniających zaciśnięte, wyszczerzone zęby był wciąż jeszcze ślad bólu, w zmętniałych oczach odbicie ostatniego strachu. „I pan, doktorze Ralston, chciałby stworzyć to wszystko...” Tego nikt nie powiedział. Ale mógł mu powiedzieć — właściwie każdy z nich. Miał dość, miał już zupełnie dość. Chciał być w domu, możliwie jak najprędzej, móc zasnąć, nie pamiętać. Czy rzeczywiście mógł być aż tak ślepy przez całe cztery lata? Czy to możliwe, aby ta beznamiętna dociekliwość badacza idącego tropem wymykającego się jego poznaniu, a tak bliskiego odkrycia — podobna do okrutnej ciekawości dziecka — mogła przesłonić wszystko? Zaraz za drzwiami sali wpadł na doktora Ranka, małego i tłustego Steve'a, toczącego się z szybkością bilardowej kuli na swoich krótkich i krzywych nogach i pomrukującego do siebie w wiecznym zadowoleniu; dziś bardziej niż kiedykolwiek rozradowany Steve kojarzył mu się z gaworzącym coś niezrozumiale, przyjaźnie nastawionym do świata, spasionym jeźdźcem, jakie widywał w rezerwacie nad rzeką Saskatchewan.

— A, Ralston! — rozpromienił się Rank. Małe, poczciwe

oczki krótkowidza spojrzały z dołu Śyczliwie i nieuważnie;
po raz pierwszy chyba ta roztargniona Śyczliwość nie budziła
w Ryaniu sympatii. — Jeszcze ci mało? Od godziny jesteś
juŜ po dyŜurze. Powinno cię tu nie być.

— Nie bój się, nie zamierzam robić ci konkurencji... — Śart
wypadł słabo, nawet jemu samemu wydał się płaski i
wysilony. — Wychodzę właśnie.

— Miałeś televideo, ale myślałem, Őe cię juŜ tutaj nie ma.
Powiedziałem tamtemu, Őe jesteś w drodze do domu.

— Kto to był?

— Wiesz, jakiś dziwak, nie włączył wcale wizji. A moŜe to
twój pacjent? Tylko od kiedy ty leczysz astmatyków?

Poczekaj, powiem Karłowi, Őe włączysz na jego podwórko...

Wyminął Ryana i potoczył się dalej, rad z siebie i swojego
dowcipu; poły białego fartucha rozwiewały się za nim, kiedy
tak pędził — juŜ znowu czymś zajęty, znow zaabsorbowany.

Ryan stał bez ruchu, wpatrzony w kolorowe, wesołe tafle
posadzki; przez chwilę miał uczucie, Őe został osaczony,
choć nie rozumiał, kto i dlaczego miałby to robić. Przełknął z
wysiłkiem ślinę i zmusił się do tego, Őeby ruszyć z miejsca.

Idąc przestronnym korytarzem mimo woli przyspieszył kroku

— jasne i ciemne tafle migały pod stopami; jakby kwadraty
światła i cienia.

To uczucie nie opuściło go nawet wtedy, kiedy przebierał się

w swojej dyŝurce; raz i drugi z niepokojem zerknął na ciemny i milczący aparat televideo. Ale nic się nie stało, nikt juŝ się z nim nie łączył. Uspokojony poszedł w kierunku wyjścia.

Przeszklone drzwi rozsunęły się przed nim. Wyszedł w kwietniowe słońce, w zapach narcyzów rosnących na klombach wokół szpitala. sółte kwiaty forsycji drŝały na krzakach w lekkich podmuchach wiatru. Przystanął, przymknął oczy. Przez chwilę stał tak prawie spokojny i uciszony, czując na zaciśniętych powiekach łagodny dotyk ciepła. Oddychał cicho i lekko — jego oddech ulatywał bezgłośnie w wiosenne powietrze; pomyślał, ŝe najgorsze ma właściwie za sobą i trzeba tylko czasu, a wszystkie jego sprawy wygładzą się i ułoŝą, chociaŝ całkiem inaczej, niŝ się był tego — tak niedawno — spodziewał. Jego grawistat stał pierwszy z prawej strony — z daleka błyszczał biały lakier, polśniewały niklowane detale. Wsiadł, drzwi zatrzasnęły się za nim, wcisnął klawisz rozruchu. Pojazd cofnął się nieco, wykręcił i — odrywając się od ziemi — łagodnym łukiem wznosił się na grawistradę. Pęd wcisnął Ryana w pneumatyczne siedzenie, drzewa i krzewy rosnące na poboczach zlały się w rozmazaną smugę. Trwało to chwilę, póki nie wjechał w tunel — szerokim łukiem podziemna droga okrąŝała miasto, warunki grawistrady na tym odcinku

pozwalają rozwijać maksymalną prędkość. O tej godzinie i tak daleko od centrum nie było prawie ruchu; Ryan włączył przyspieszenie. Pojazd runął przed siebie orząc światłami ciemność — odepchnięta na boki otwierała przed grawistatem rtęciowy tunel blasku, w który wbijał się dziobem. Powietrze wyło, darte szaleńczym pędem — nawet tu, w szczelnie osłoniętej kabinie, słychać było ten wizg. Gnając tak Ryan uspokajał się coraz bardziej; szybkość wymiatała z niego ostatek niepokoju, wielogodzinne napięcie ustępowało bez śladu. Dzika i prymitywna radość, jaką od wieków budził w człowieku pęd, nie zostawiała miejsca na żadne myśli, żadne inne uczucie.

Wpadł w zakręt nie zwalniając; światła, na chwilę uwięzione w płaskim łuku bandy, znów uderzyły w ciemność, wyławiając z niej jakiś kształt tarasujący drogę. Zanim Ryan mógłby o tym pomyśleć, włączyły się zespoły zatrzymujące grawistat i pojazd stanął, hamując z siłą, która zgniotłaby hamującego na miazgę, gdyby nie chroniąca go poduszka pola kompensacyjnego. Nawet przy tej osłonie Ryan poczuł siłę wgniatającą go w przednie zabezpieczenie fotela, tak potężną, że zabrakło mu oddechu i pociemniało w oczach. Kiedy to ustąpiło, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył w łunie nieruchomego blasku, był zakłęśnięty od wstrząsu, obły bok grawilotu — jednego z tych niedużych, dwuosobowych, które

z tym samym powodzeniem mogą być używane do lotów —
i, tak jak grawistaty, do poruszenia się tuż nad ziemią, po
liniach grawistrady. Ten leżał w poprzek drogi — wyglądał
jak gdyby z jakichś przyczyn stracił sterowność, wałąc się
nagle i ciężko na betonowe pasy. W otwartych drzwiach
kabiny, głową w dół, zwisało ciało pilota — nie zdążył
rozpiąć pasów, zanim stracił przytomność. Jednym
szarpnięciem Ryan odrzucił owiewkę; nie myślał, działały
wieloletnie nawyki. Wskoczył z grawistatu i — zanim
jeszcze mógł sobie to uświadomić — już biegł;
był całkiem blisko, kiedy zza rozbitego grawilotu wynurzył się
jakiś człowiek, zabiegając mu drogę. Ryan dostrzegł jego
twarz — wykrzywioną i białą w strumieniu światła jak
gipsowa maska. Oczy tamtego wydały mu się nadmiernie
rozszerzone, nieprzytomne, jak u człowieka w szoku —
niedawna katastrofa musiała widać stanowić dla niego
potężny wstrząs.

Zabelkotał coś gwałtownie wyciągając rękę; jego
rozcapierzone, palce chybiły ramię Ryana o włos. Ale nie on
był w tej chwili ważny; Ryan nie miał wątpliwości, że pilot
grawilotu musi być ciężko ranny: nie poruszał się wcale i
twarz miał całą we krwi. Więc krzyknął tylko: „jestem
lekarzem”, przebiegając koło znieruchomiałej z wyciągniętą
ręką, nadmiernie rozrośniętej, wręcz ogromnej postaci.

Jeszcze dwa kroki i znalazł się przy rannym, nadal nie zdradzającym oznak Śycia. Pomyślał, Śe jego pomoc nie jest już moŚe potrzebna. Śe ma przed sobą trupa. Pochylił się nad okrwawioną, znieruchomiałą twarzą. W tej samej chwili pilot otworzył oczy — najzupełniej przytomne, czujne spojrzenie zaskoczyło Ryana kompletnie.

Zdziwić się już nie zdąŚył; gwałtowny, tępy ból wybuchł nagle pod czaszką, ciemność zawirowała czerwonymi światłami. Stracił przytomność.

Kiedy ją odzyskał, leŚał — niewygodnie skurczony — na wyściełanej pianoplastykiem podłodze grawilotu; światło dnia wypełniające kabinę i niski szum silników świadczyły, Śe jest on najzupełniej sprawny i Śe znajduje się w powietrzu.

Spróbował wstać, ale się nie udało — był bardzo słaby, kręciło mu się w głowie, w uszach szumiało, przed oczyma mrowiły czarne płatki. Opadł na pianoplastyk, dopiero teraz czując jeszcze i to, Śe przytrzymują go jakieś ciasne więzy. I poderwany z nagłą tą świadomością szarpnął się po raz drugi — znów bezskutecznie, znów z głuchym stukiem opadając na podłogę.

Musieli to usłyszeć; widoczna nad oparciem wysokiego fotela, zniekształcona pałakiem przytrzymującym słuchawkę radioaparatu, głowa pilota poruszyła się odwracając powoli w prawo. Ryan poszedł oczyma za tym ruchem: znad drugiego fotela sterczała wielka głowa i rozrośnięte barki

olbrzyma. Pilot — bo to był chyba jego głos — powiedział

obojętnie:

— Ten twój zaczął się ruszać. A już myślałem, że załatwiłeś go dokładnie i na zawsze...

Olbrzym okręcił się z fotelem: Ryan miał przed sobą jego ogromne stopy, ręce wsparte na rozstawionych udach i pochylony do przodu korpus, którego monstrualne mięśnie zdawały się rozsadzać cienką tkaninę skafandra. Szeroka, wielka twarz z wyblakłymi oczami pod ciężkim nawisem brwi wydawała się prawie łagodna; okrutne były tylko te ręce leżące płasko na udach: ciężkie i krótkie, porośnięte gęstymi włosami nawet na członach palców.

— Spokojnie — powiedział drwiąco. — Nie szarp się tak, rozbijesz sobie tylko swój cenny łeb... Mógłby to sobie darować: Ryan nie zamierzał próbować po raz trzeci, zbyt upokarzające byłyby takie próby, beznadziejne szarpanie się na podłodze, pod chłodnym wzrokiem tamtego. Spróbował ruszyć głową, poczuł tępy ból u nasady czaszki i mdły, słodkawometaliczny smak w ustach — smak krwi. Ostrośnie zbierał myśli, by ułożyć je w słowa:

— Dlaczego... — wargi miał sztywne i chyba opuchnięte, przeszkadzały, zdawały się nienaturalnie duże. — Dokąd chcecie mnie zawieźć?

To wszystko było zbyt nonsensowne i nieprawdopodobne —

jakieś porwanie, jak w archiwalnych, dwuwymiarowych filmach z ubiegłego stulecia, ale tym razem zdarzyło się naprawdę, tym razem bohaterem owej tragifarsy był on sam. Ale tamci nie uważali tego za farsę; w płaskiej twarzy olbrzyma zobaczył wzgardliwy grymas, oczy zwęziły mu się, patrzyły nieśyczliwie, z niezrozumiałą, prawie bezosobową nienawiścią. Powiedział wolno:

— Nie bądź taki ciekawy... Dowiesz się we właściwym czasie

wszystkiego, co masz wiedzieć. Jak tylko wylądujemy.

To znaczy — już niedługo.

Mówił prawdę: grawilot zaczął się zniżać, Ryan poznał to po nagłej zmianie ciśnienia, powodującej rosnący ucisk w uszach. Rozbita głowa zaczęła znów pulsować, poczuł natrętne mdłości; z wysiłkiem przełknął ślinę — przeszło.

To, na czym wylądowali, przypominało rozległe patio, częściowo obrośnięte krzakami bougenvili; tam gdzie nie sięgał zielonkawy cień wiotkich gałązek, upał kładł się na białe, nieregularne płyty — Ryan poczuł jego przygniatający do ziemi ciężar na barkach i obolałej głowie, gdy tylko tamci wyprowadzili go z grawilotu. Przystanął, po zaduchu kabiny z ulgą oddychając gorącym, a przecieś dziwnie rzeźwym powietrzem, w którym przez zapach nagrzanego słońcem liści czuło się całkiem wyraźnie słonawy, chłodny oddech

niewidocznego morza. Zdawało mu się, że był już kiedyś tutaj, że już to wszystko widział: patio i bougenvilie, rdzawoczerwone skały opadające ku wciśniętemu pomiędzy niebiałemu bungalowowi. A jednocześnie wiedział, że to jest niemożliwe, że swój pobyt w tym miejscu musiałby zapamiętać.

— Sam pójdziesz, czy mamy cię zawlec siłą? Odwrócił głowę — tu, w pełnym świetle, olbrzym przypominał niezdarną i prymitywną rzeźbę, oświetloną na krótko dla niepojętych celów; Ryan dostrzegł krople potu występujące na jego szarawą skórę, rudawy odcień obrastających ręce, skreconych włosów, poczuł nawet nie strach, tylko po prostu wstręt na myśl, że te ręce miałyby go dotykać.

— Sam pójde.

Wnętrze niskiego, białego bungalowu wbrew wszelkim spodziewaniom nie przypominało w niczym miejsca przeznaczonego na odpoczynek; szare i gładkie ściany, betonowa podłoga, stalowe drzwi i rażąca światła, umieszczone wysoko pod sufitem, kojarzyły się raczej z budowanymi dawniej przeciwatomowymi schronami, więzieniem albo twierdzą. Teraz był całkiem pewien, że nigdy tutaj nie był. A jednocześnie zdumiała go obronność tego dziwnego miejsca: wąski korytarz wiodł pod powierzchnią ziemi, a drzwi, do których prowadził, kryła

pancerna płyta. Byli już przy tych drzwiach, kiedy — zza niewidocznego aŜ do tej chwili załomu korytarza — wysunęła się szczupła i niewysoka postać; na ich widok człowiek spłoszonym ruchem przywarł plecami do betonowej ściany. Byli tak blisko, Ŝe Ryan zobaczył, jak ciemne oczy w śniadej, ściągniętej twarzy rozszerzają się nagle.

Zaskoczeniem czy strachem ?

Przystanął mimo woli; w pochyleniu wąskich i chudych ramion, w nerwowych ruchach siwiejącej głowy było coś znajomego — i twarz tamtego, ostra, inteligentna, tak Ŝe wydawała się znana. Twarz, którą musiał widzieć niejednokrotnie, choć teraz nie potrafił powiązać z Ŝadnym znanym nazwiskiem, z Ŝadnym otoczeniem czy chwilą.

Przez kilka sekund patrzyli tak na siebie, a potem, nagle, ten szczupły siwiejący człowiek skulił się, zwinął — jak gdyby zapadł w sobie — i nie odrywając od Ryana przedziwnych, spłoszonych oczu zaczął przesuwać się wolno i ostroŜnie, wciąż przyciśnięty plecami do szorstkiego betonu, w kierunku, z którego pojawił się przed chwilą. Biały laboratoryjny kitel, zaczepiając o nierówność ściany, rozchylił się na piersiach odsłaniając brudne i wymięte ubranie; nie zwrócił na to uwagi, jego zbladła i nienaturalnie nieruchoma twarz nie wyrażała niczego — tylko w ciemnych, otoczonych siatką cieniutkich zmarszczek oczach był ciągły

lęk.

— Grey! Profesorze Grey...

Człowiek szarpnął się, zatrzymał, znieruchomiał. Jego głowa drgnęła na wiotkiej szyi, jakby niechętnie zwróciła w stronę Ryana; twarz była wciąż nieruchoma, nie pojmująca — w swoim znieruchomieniu łagodna i pusta jak twarz dziecka.

Przywarł mocniej do ściany, oczy biegały teraz niespokojnie jak u osaczonego zwierzęcia; Ryan poczuł strach,

przeraślenie podnoszące się twardym szarpnięciem aś spod mostka, zaciskające krtań. Powtórzył cicho, ze zdumieniem:

— Profesorze Grey...

Nie mógł przewidzieć tego, co się stało: sławny cybertronik obrócił się gwałtownie i — przywierając ciągle ciałem do

ściany — rzucił się do ucieczki. Biegł drobnym, niezdatnym truchtem; zgarbiony, pomykający chyłkiem pod szarym

murem, dobrze widoczny w świetle nie osłoniętych lamp,

wyglądał — przez ową krótką chwilę, póki nie zniknął w

załomie korytarza — jak przeraśiony szczur. Echo jego

pośpiesznych kroków, odbite od niskiego sklepienia, niosło

się korytarzem jeszcze i wtedy, kiedy samego Greya nie było

juś widać; w ciszy, która potem zapadła, Ryan usłyszał

wyraźnie głucho i ciężkie łomotanie własnego serca. Teraz

dopiero — po raz pierwszy — poczuł naprawdę strach,

zimny i wstrętny strach, jakby niezrozumiałe zalęknienie

uciekającego Greya udzieliło się i jemu; pot łaskotliwie zaczął spływać po skórze, mięsień policzka zadrgał nagle kurczowo — czuł to, wstydził się, a przecieŜ nie potrafił się w Ŝaden sposób opanować. Strach był w nim jeszcze, kiedy przez cięŜkie, uzbrojone pancerną płytą drzwi wepchnięto go do wielkiej, sklepionej . sali, ku której wiódł ten korytarz. Usłyszał głucho zatraskiwanie się ich za swoimi plecami, a jednocześnie poraziło go światło. Musiał przymruŜyć oczy: oprócz wysoko jak wszędzie tutaj zawieszonych lamp świeciła cała powierzchnia przeciwległej ściany, blask wytryskiwał z niej raŜając oczy do bólu.

Kiedy je znów otworzył, zobaczył oddalonego niemal o całą długość sali człowieka, siedzącego plecami do tych światel na małym podium przy staroŜwieckim, bezcennym, bo drewnianym biurku. Światło Ŝlizgało się po jego wypolerowanym blacie oŜwietlając bardzo dokładnie kaŜdy słoŷ drewna i nieruchome ręce, leŜące zupełnie płasko, jak woskowe odlewy. Twarz i reszta postaci pozostawały zupełnie niewidoczne, czarna i płaska, jakby wycięta z blachy, na boczne ściany sali padał ogromny, rozłamany cień, cienie i blaski zdawały się unosić nad głową siedzącego wyolbrzymiały go, stwarzając efekt niepokoju i mocy — nazbyt wyraźny, by nie był przemyślany.

— Udało się. Akcja przebiegła zgodnie z planem... Tamten nie słuchał. Nim olbrzym zaczął mówić, już skinął głową (cienie powtórzyły ten ruch), jakby to było zupełnie oczywiste, jakby już wcześniej, wydając polecenie, wiedział, że w najdrobniejszych szczegółach zostanie wykonane. Jakby był pewien, że wszystko, zawsze, musi się dziać tak, jak on chce — i nie dopuszczał w żadnym przypadku myśli, że może być inaczej. Wstał — cień rósł nad jego głową, gdy podnosił się z wolna — obszedł biurko; dopiero teraz widziało się, jaki był niski: tors rosnącego człowieka osadzony na krótkich nogach karła. Zaczął iść — gdy tak się zbliżał wlokąc za sobą cienie, Ryan dostrzegł, że utyka: jedną nogę miał sztywną, stawiał ją bokiem, nie zginając w kolanie. Mimo kalectwa jego ruchy były zwinne i szybkie.

— A jednak spotkaliśmy się, doktorze Ralston. Głos był cichy, znajomy — pewny siebie, rozkazujący głos przerywany astmatyczną zadyszką. Ryan poczuł, że całe jego dotychczasowe napięcie mija. zachciało mu się śmiać. Z siebie, z własnego ogłupienia i lęku — i z tamtego człowieka, który tę całą zwariowaną historię wymyślił, wyreżyserował, być może wierząc istotnie, że owo bezsensowne, idiotyczne porwanie może stać się wstępem do rozmów, do współpracy. Śmiech -- na razie jeszcze bezgłośny — rozrastał się w nim dalej, był nawet w jego

głosie. kiedy powiedział:

— Nie zmieniłem zdania w ciągu tych kilku godzin.

Konwersacyjny, miły, prawie łagodny ton:

— Jestem Morton. — A kiedy cisza zaczęła się przeciągać:

— Waker Red Morton...

Waker Red Morton! AŜ do niedawna — członek Kolegium

Czterdziestu, jeden z tych, w których rękach znajduje się los

Ziemi, od pewnego czasu — jak donosiły oficjalne

komunikaty — przebywający na zasłuŜonym,

bezterminowym urlopie ze względu na zły stan zdrowia

(chociaŜ byli i tacy, którzy szeptali, Ŝe tak naprawdê chodzi o

jakieś nie ujawnione naduŜycia). WciaŜ jeszcze dość

potêŜny i dość wpływowy, pomimo pozornego usunięcia się

na ubocze, by w dalszym ciągu zachować dawną władzę,

wystarczającą, by wszystko wokół niego działało się tak, jak

on chce. To wyjaśniało wiele, a w kaŜdym razie wraŜenie, Ŝe

tak wiele rzeczy było Ryanowi znanych. Wyspę, miejsce

wypoczynku Mortona, widział w stereowizji, jak — teŜ z

programów stereo — znał jego władczy, nieco zdyszany

głos, jak musiał znać i twarz, która wciaŜ jeszcze ukrywała

się w cieniu. Powiedział z mimowolnym szacunkiem:

— To niczego nie zmienia. ZłoŜyłem przyrzeczenie przed

Radą. PrzecieŜ pan o tym wie, Morton.

— Tu decyduje moja wola, nie Rady.

— Postanowienie Najwyższej Rady Naukowej wiąże

każdego, na całej powierzchni Ziemi. Nikt nie jest w stanie...

nawet władza Czterdziestu...

— Odmawiasz?

— Tak.

Nie zdążył się zasłonić. Towarzyszący im milcząco, nieruchomy aś dotąd olbrzym poderwał się gwałtownie i jego cios rzucił Ryana o ścianę. Przez chwilę trwał tak, rozplaszczony plecami na chropawej powierzchni, potem nogi ugięły się pod nim — zamroczony potężnym uderzeniem

bezwładnie jak łachman osunął się na podłogę.

Próbował podnieść się, choćby tylko uklęknąć — zdołał to wreszcie zrobić, wspierając się na rękach. Przez szum w uszach i ból rozciętej brwi posłyszał równy, spokojny głos Mortona:

— Nie rusz. — To było do olbrzyma. I już do Ryana, niegłośno, prawie uprzejmie, jakby to była towarzyska rozmowa, nieistotna wymiana sprzecznych poglądów: — Jesteś zupełnie pewien, że nie zamierzasz pracować dla mnie, Ralston?

Krwawił. Chciał odpowiedzieć, ale w ustach czuł wciąż natrętny, słodkawomdłący smak, myśli uciekały. Zbierał słowa niemrawo, mówienie wciąż nie było łatwe. Odkasznął

krę — głos zabrzmiał chrapliwie, obco, jakby mówił to

zupełnie inny człowiek:

— Nie masz Śadnego prawa...

Ponowne uderzenie rzuciło go o beton, zamroczyło. Zapadał

w jakiś miękki, czerwony mrok — poprzez tę ciemność

dostrzegał tylko wirowanie rozmywających się w tęczujące

kręgi zawieszonych u sufitu świateł. Potem poczuł ciosy — i

ból. Tępy, zapierający oddech; olbrzymi sługa Mortona kopał

go teraz z wymyślną powolnością ciężkim podkutym butem.

Znowu usłyszał głos — obojętny, równy, bez śladu

okrucieństwa czy gniewu:

— Wystarczy. Zostaw.

Ciosy ustały, tylko w głowie kręciło się wciąż jeszcze, czuł

się obolały i słaby. Czerwona mgła rzedła, mógł już poprzez

nią dostrzec spokojną twarz Mortona przyglądającego mu

się ze skupionym, zimnym zaciekawieniem — niemal

bezosobowym i chyba właśnie dlatego w jakiś sposób

niehumanym.

Spróbował wstać i to mu się udało. Mięśnie drżały i nogi

miał jak z waty, ale ustał. Światła lamp, wciąż jeszcze

rozmażane, zdawały się zataczać nad nim leniwe kręgi;

w to wirowanie powiedział z nienawiścią:

— Myślisz, że w taki sposób zdołasz skłonić mnie do

współpracy, Morton?

— Och, nie... Znam lepsze. Ten jest... dość prymitywny. —

Lekcewaśnym gestem odsunął wszystko, co wydarzyło się przed chwilą; było niewaśne, wynikało bardziej z samowoli olbrzyma niż z jego własnych zamierzeń, dawał tym samym do zrozumienia, że sam wybrałby sposób bardziej wyrafinowany. — Chociaś czasami... bywa zupełnie dobry.

— Milczał przez chwilę; Ryanowi wydawało się, że tamten się uśmiecha: ironicznie i drwiąco. Ale nic nie mógł dostrzec na skrytej w cieniu twarzy. — Dobrze. Porozmawiajmy rozsądnie. Mogę ci przyrzec, że takie... intermedium więcej się nie powtórzy. Drwił najwyraźniej, głęboko przekonany, że udzielił drobnej, choć dotkliwej nauczki, po której może spodziewać się jeśli już nie pokory, to przynajmniej wynikającej z zastraszenia skłonności do kompromisu.

Czekał. Tkwił naprzeciwko na swoich krótkich nogach, ignorując fotele, których kilka stało tuż za nim pod ścianą.

Nie poruszył się chyba od chwili, gdy wstał zza biurka, sztywny, wyprostowany — mały, pokraczny mężczyzna, tak nieproporcjonalny, że rozumiało się, czemu na żadnym z jego zdjęć nie pokazywano nic, oprócz twarzy. Mógłby wydać się śmieszny, gdyby nie jakaś zimna i straszna siła, która sprawiała, że nawet w tym bezruchu miał w sobie coś groźnego. Może dlatego to, co Ryan chciał powiedzieć.

przyszło mu z pewnym trudem:

— Nigdy nie zgodzę się na pańską propozycję, Morton.

Nigdy. I nawet nie dlatego, że złożyłem przed Radą przyrzeczenie, że nie podejmę dalszych badań, nie będę pracował nad tą sprawą. Nie chcę. Rozumie pan? To ja — nie chcę.

Dopiero teraz tamten poruszył się nieznacznie — jego twarz nagle znalazła się poza granicą cienia; nie miała w sobie nic, żadnego z ludzkich uczuć. Patrzył na Ryana bezbarwnymi, blisko osadzonymi oczami tak obojętnie, jak mógłby patrzeć na jakiś martwy przedmiot. Powiedział cicho, obojętnie, prawie leniwie:

— To przecież nie ma najmniejszego znaczenia... — przerwał i krótką chwilę łapał kurczowo oddech, ale gdy znów zaczął mówić, nic w jego głosie — poza trochę tylko silniejszą zadyszką — nie zdradzało wysiłku, z jakim zdołał powściągnąć zbliżający się atak. — Nie ma znaczenia, czy ty chcesz, czy też nie. Jeszcze nie zrozumiałeś? Stałeś mi się potrzebny. A ja mam zawsze to, czego potrzebuję...

— Potrzebny? Tobie? Do czego?

— Jesteś — jak dotąd — jednym jedynym człowiekiem, który potrafi stworzyć od nowa życie. Inne, żywe istoty. A ja chcę właśnie tego. Musiałem więc zapewnić sobie twoją współpracę — prawda? Za każdą cenę.

— Powiedziałem ci: nie. I nie ma ceny, za którą mógłbyś

mnie kupić, Morton.

— Tak. teraz wiem. Odrzuciłeś wszystkie oferty. Stanowisko naczelnego lekarza i dyrektora instytutu. Własny ośrodek badawczy. Nawet i tę fantastyczną, dzisiejszą propozycję: milion. Dlatego, jak sam widzisz, zaprzestałem już pertraktacji. Cóż, może jeszcze kiedyś będziesz ślaował, śle byłeś — jak to sam określasz: nie do kupienia. Teraz zrobisz dla mnie to samo nie otrzymując w zamian żadnego wynagrodzenia...

To wszystko było zbyt fantastyczne, zbyt nieprawdopodobne, by mogło zdarzyć mu się naprawdę. A przecież trwało, jak koszmar, z którego nie można się przebudzić, choć nawet we śnie wie się, śle gdzieś, tuś obok, istnieje rzeczywistość, znajoma i codzienna, śle tak niewiele oddziela ją od snu. Przełknął ślinę, wargi miał ciągle jeszcze nie swoje, opuchnięte — po pierwszym ciosie, który zamrocył go tam, przy gawilocie, czy po tym drugim?

Powiedział:

— Nie możesz... zmusić mnie, Morton...

— Mogę. I zmuszę. Będziesz robił wszystko, co każe, Ryan.

Powiedziałem ci przecież, śle zawsze mam to, czego chcę.

— Jak...

— Jak zdołam to osiągnąć? To proste. Jesteś lekarzem, więc powinieneś wiedzieć, co może zrobić z człowiekiem

jego własne ciało... Ale zapewniam cię, że nie wiesz jeszcze
wszystkiego. To rzeczy ściśle tajne, a więc nie mogłeś
poznać sposobów, jakie w ciągu swego istnienia wymyślił
człowiek, aby skutecznie łamać najbardziej opornych.
Będziesz wył z bólu, jeżeli tego zechcę, i zgodzisz się na
wszystko, czego mógłbym wymagać — bylebym tylko
zlitował się nad tobą...

Poczuł, że blednie. **Przez** zaciśnięte szczęki mówiło mu się z trudem:

— Więc chcesz... mnie torturować, Morton? W taki sposób
zamierzasz... wymusić na mnie zgodę?

— Jeżeli będzie trzeba... — urwał, przez chwilę przyglądał
się Ryanowi zachłannie, jakby szukając w jego oczach i
twarzy wyrazu przerażenia i — widać nie znajdując w
wystarczającym stopniu — ciągnął po chwili dalej: — Jest
zresztą inny sposób, którego też mogę użyć... Wiesz,
oczywiście, jak działa promieniowanie kappa-2? Co może
zrobić z człowieka? Sięgnę do twego mózgu i odbiorę ci
wolę, pozostawiając całą inteligencję i całą twoją wiedzę...

Staniesz się wtedy przerażonym zwierzęciem, a
jednocześnie

— ślepo posłusznym narzędziem, wykonującym bez zwłoki
każdy mój rozkaz...

Tak, wiedział, jak działało promieniowanie kappa-2. I
wiedział, że przed tym nie potrafi się bronić, niczego

przeciwstawić potwornej sile, ingerującej w procesy jego

mózgu. **Był** zupełnie bezradny, całkowicie zależny od

decyzji Mortona. Tym razem tamten musiał zobaczyć w jego

oczach dość strachu i rozpacz, by zrozumieć, że wygrał.

Dorzucił cicho, okrutnie:

— Zrobisz wszystko, co każe... a potem, do końca swego

życia... będziesz już taki, jaki jest dzisiaj Grey... Czuł zimno w twarzy, napięcie wszystkich mięśni. Dusił się prawie — jak

tamten, ten astmatyk — tylko że on dusił się z bezsilnej

nienawiści, oburzenia i strachu. Własny głos wydał mu się

obcy, bełkotał niewyraźnie:

— Więc Grey... to twoje dzieło? Grey, którego... o którym...

Największy cybertronik, jakiego od stulecia wydała Ziemia...

Morton uśmiechnął się nagle — prawie nieznacznie, tak

lekkodrgnęły kąciki wąskich warg. W tym uśmiechu nie było

rozbawienia — tylko wzdurna pycha, zarozumiała

wyśszość. Powiedział obojętnie:

— Sam sobie winien. Gdyby był mniej uparty... — zrobił

pauzę dla podkreślenia efektu i ciągnął dalej: — Ja, widzisz,

Ryan, naprawdę mogę wszystko. No, prawie wszystko... Bo

to, czego sam nie potrafię, będę miał także — dzięki takim

jak ty i jak Grey. Z udziałem waszej woli albo bez jej udziału,

to już jest bez znaczenia... Dlatego radzę: zastanów się dwa

razy, zanim skąśesz się na ten sam los. Jeśli będziesz

posłuszny... Ja sam wolałbym zachować nienaruszony twój

mózg: człowiek ze spreparowaną osobowością jest jednak o wiele mniej doskonałym narzędziem... W jego głosie nie było — nawet teraz — zawziętości czy gniewu; mówił to tak spokojnie, z najgłębszym przeświadczeniem o nieodwracalności wszystkiego, co dokonać zamierzał, że Ryan, słuchając, nie wątpił ani chwili, iż Morton — tak samo obojętnie, z takim samym spokojem — zrobi to wszystko, co właśnie powiedział. Z każdą chwilą ogarniało go coraz większe, tępe i martwe przerażenie. Pierwszy raz w życiu był we władaniu siły nie liczącej się z niczym, a najmniej z tym, co on. Ryan — i wielu jemu podobnych — nazywało zasadami humanitaryzmu. Ta siła mogła posłużyć się nim jak rzeczą, użyć go do swych celów. Zniszczyć — tak jak zniszczyła Greya, a jego opór istotnie był bez znaczenia. Rozumiał, że będzie musiał zrobić wszystko, czego Morton zażąda. W przeciągającą się, ciężką, nieomal dotykającą ciszę, jaka zapadła po ostatnich słowach tamtego, powiedział prawie z jękiem: — Więc czego chcesz ode mnie? Co mam dla ciebie zrobić? Morton uśmiechnął się znowu swym bezzadnym, ledwie dostrzegalnym uśmiechem. Potem odwrócił się, dwukrotnie przeszedł, utykając, przez całą szerokość sali, zatrzymał w swojej wędrownicy i usiadł w obrotowym fotelu — to było jak manifestacja pewności, że wygrał pierwszą rundę. Oparł

brodę na dłoni, chwilę wpatrywał się w Ryana — uważnie, taksujące. Nie zmieniając pozycji, nie poruszając się niemal, samym ruchem cienkich bladych warg powiedział:

— Ty i Grey... stworzycie dla mnie świat, w którym stanę się bogiem, świat tylko mnie posłuszny i ode mnie zależny...

Świat, w którym życie wszystkich zamieszkujących go istot będzie uzasadniała jedynie moja wola — bo powstaną i istnieć będą tylko dlatego, że tak postanowiłem i że ja tego chcę... Którego prawa ja ustanowię, w którym ja tylko będę mógł uszczęśliwiać i karać. Świat, w którym wszystko i zawsze będzie się działo zgodnie z moją wolą.

— Nie...

Powiedział to tak cicho, że sam nie usłyszał swojego głosu; to jedno słowo zapadło w martwe milczenie, jakie nastąpiło po oświadczeniu Mortona, niedosłyszalnie — jak oddech.

Ale tamten usłyszał czy może tylko odgadł taką odpowiedź;

Ryan dostrzegł błysk oczu, czujnych, skupionych oczu, wpatrujących się w niego z uporem, a jednocześnie — jakby ślepych na wszystko, co nie było tą wizją.

— Ralston, sam wiesz, jak mało może znaczyć to twoje

„nie”. Wiesz, że twój opór nie przyda ci się na nic. Ten świat powstanie, skoro ja tego chcę. I wy stworzycie go dla mnie.

Powstanie z waszych mózgów i mojej woli; świat, którego —

w tym samym co i ty stopniu — ja stanę się twórcą...

Jego nierówny astmatyczny oddech stawał się coraz

głośniejszy. Ryan słyszał go wyraźnie w ciszy zapadłej po tych słowach; ulatywał ze świstem w łagodne, klimatyzowane powietrze sali, jak gdyby Morton zmagał się z czymś w bezruchu. A potem zaczął znowu, udając obojętność z coraz to większym trudem, właściwie już bez powodzenia:

— Wszystko jest przemyślane, opracowane do najdrobniejszych szczegółów: na orbicie Plutona powstanie nowy glob, który wy zapełnicie Syciem... Nikt temu nie będzie mógł przeszkodzić. Osiągnę to, do czego zawsze dążyłem, czego najbardziej chcę... Jego oczy patrzyły teraz tak, jak gdyby utraciły zdolność widzenia czegokolwiek, jakby nie widział Ryana i tej podziemnej sali, wpatrzony w siebie, w narastającą obłądną Sądzę władzy, panowania nad wszystkim. Kiedy znów zaczął mówić, w jego pozornym opanowaniu wyczuwało się jakąś determinację, rozpaczliwą zawziętość.

— Tu, w świecie stworzonym przez naturę i zamieszkanym przez takich jak ja sam, którzy wymyślili dla siebie nazwę: homo sapiens, można mieć każdą rzecz, jeśli się dysponuje wystarczającą siłą i odpowiednimi środkami... Więc miałem wszystko i nadal mógłbym mieć wszystko, co warte jest zachodu w tym ludzkim zbiorowisku — gdyby mi na tym naprawdę zależało. Ale to już mi nie wystarcza. Chcę mieć

swój własny świat, w którym będzie się działo to, co ja postanowię, i gdzie jedynym celem Śywych, rozumnych istot będzie oddawanie mi czci, juŚ przez sam fakt, Śe istnieją — głoszenie mojej chwały. I ty powołasz mi je do Śycia, Ryan: istoty zdolne kochać i nienawidzić, cieszyć się, śmiać i płakać — po to, Śeby całe ich Śycie, kaŚde z ich uczuć i myśli stawały się przeze mnie i dla mnie...

Był opętany bez reszty swoją wizją, wizją poczętą w odruchu ślepej pychy, megalomanii nie pojętej dla innego człowieka, poŚądania absolutnej, nieograniczonej władzy. Jego świat mógł powstać rzeczywiście — na nieszczęście wciąż jeszcze

miał dosyć siły i dosyć moŚliwości, by to zrealizować. Ryan czuł, Śe usta ma znowu drętwe i nieposłuszne.

— Morton, czy pomyślałeś, co stworzysz razem z tym twoim światem?

— Istoty, które będą mnie kochać tylko za to, Śe powołałem - je do Śycia...

To niespodziane wyznanie, tak róŚne od wszystkiego, co mówił i czynił dotychczas, zaskoczyło Ryana na chwilę.

Przez moment czuł coś bardzo zbliŚonego do zwyczajnej litości. Skąd Morton czerpał takie pragnienia, w jakiej chwili niepojętego osamotnienia i lęku mogły się one zrodzić?

Milcząc przyglądał się nieruchomej, pokracznej sylwetce

Mortona; już nie wydawał mu się bezwzględna, ślepa siła, był teraz tylko istotą tak bezsilną i tak osamotnioną jak i on sam: Śłośny bóg, szalony i kaleki, poszukujący uczuć, których wzbudzić nie umiał, a które teraz, przez swój akt twórczy, postanowił wymusić. Bóg, nieświadomy tego, co stwarza., i wobec wszystkich następstw własnego czynu całkowicie bezradny. I myśląc tak zaczynał mieć nadzieję, że jest w tym coś, do czego warto się jeszcze odwoływać.

Wyschłymi ustami powiedział prawie łagodnie:

— Nie, Morton. Mylisz się — oni, ci, których mam na twój rozkaz stworzyć, wcale cię wielbić nie będą. Bo razem z tym stworzysz każde cierpienie znane żywej istocie.

Nieświadome, jak ból rozdeptanej mrówki, ciągnącej za sobą swój odwłok, czy wiwisekcionowanego psa, a potem po świadomą mękę, przerażenie i rozpacz rozumnych istot... Już nie pamiętał, że powtarza to samo, co — nie tak dawno — słyszał od łkarowa na posiedzeniu Rady. Te słowa były teraz częścią jego własnego myślenia, nie umiałby go zmienić.

Przypomniał sobie umierającą dziewczynę, jej pytanie: „Czy to musi trwać jeszcze długo?”, zaciśnięte — żeby stłumić krzyk — zęby, bąbelek śliny rozdymany nie mogącym uciszyć się oddechem. W tej chwili wierzył, że jednak to potrafi: że przekona Mortona.

— Pomyśl: tworząc swój świat stworzysz także agonię i strach przed nią. Samotność. Pustkę i opuszczenie, i każdy

brak nadziei, kaŝdą tęsknotę tych twoich istot. Nienawiść.

Okrucieństwo. Kaŝdy ból, jaki jedna Ŝywa istota potrafi zadać drugiej... Chciałbyś stworzyć to wszystko, powołać do istnienia tylko dla własnej chwały? Ale na Mortonie to zdawało się nie robić najmniejszego wraŝenia. Twarz miał spokojną, zupełnie obojętną — w owej obojętności był pewien rys okrucieństwa. Widać było. Ŝe zaprzęta go całkiem inny aspekt tej sprawy. Powiedział:

— Zrobię to tylko, czego juŝ kiedyś inny bóg dokonał byt przede mną...

Nie tylko to, Ŝe Morton myślał o sobie samym „bóg”, zaskoczyło Ryana. Odpowiedział zdumiony:

— Wiesz dobrze, Ŝe nie mogło być takiego boga... Bo gdyby istniał, w jego akcie tworzenia musiałby być jakiś zamysł...

— Potwierdzić własną wolę i siłę... Posiąść uczucia innych istot na własność...

— To zbyt mało, by stać się bogiem, Morton. I ty się nim nie staniesz.

— Myślisz, Ŝe oni... zamiast wielbić i kochać, będą

przeciwko mnie? Ŝe mi się kiedyś — zbuntują? Jeszcze nie rozumiejąc, do czego tamten zmierza, Ryan potwierdził

ostroŝniej; istniała przecieŝ szansa, Ŝe właśnie ten argument zdoła Mortona powstrzymać.

— To mają być istoty rozumne i myślące — prawda? A więc prędzej czy później będą musiały zrozumieć, jakim

okrucieństwem czy teŹ jaką bezmyślnoŹcią byŹo powoŹanie ich do Źycia. Źadne inteligentne istoty nie mogå wyciågnåc innych wniosków. I rozumiejå, jak bardzo nie miaŹeŹ prawa tego robiå, skoro nie potrafiŹeŹ, nie byŹeŹ w stanie zapewniå im spokoju i ŹczęŹcia. Bardzo moŹliwe, Źe będå się buntowaå...

Oczy Mortona byŹy zupeŹnie pŹaskie: biegaŹy niespokojnie, jakby wysiŹkiem nad siŹy byŹo dla niego zatrzymaå je na jakimŹ jednym przedmiocie. PowiedziaŹ:

— Mogę ich zmusiå. BędeŹ nagradzaå i karaå. Nagradzaå za posŹuszeŹstwo, a karaå...

UrwaŹ, dyszaŹ chrapliwie. Jego wåskie i cienkie wargi ŹciågnęŹy się odŹlaniajåc wyszczerzone zęby — to wyglådaŹo w poŹowie jak uŹmiech, a w poŹowie jak grymas.

DokoŹczyŹ, wciågajåc powietrze z cichym i krótkim Źwistem:

— ...karaå tych, którzy nie zechcå mi byå posŹuszni... Ryan

poczul, Źe znów oblewa się potem; czul go na skórze, po

policzku spŹywaŹa lepka struŹka. PodnióŹ rękę, Źeby ją

otrzeå, i spostrzegŹ zdumiony: drŹaŹa. Tępy ucisk — pod

Źebrami, pod mostkiem — powróciŹ, strach dŹawiŹ gardŹo.

gŹucho i cięŹko tŹukŹo się serce. Dopiero teraz zrozumiaŹ, Źe

(to nie tylko Źadza wŹadzy, megalomania i pycha — Źe

Morton jest szalony. I przeraŹaŹa myŹl, Źe nie tylko on sam.

Źe takŹe los tych wkrótcie majåcych powstaå istot zaleŹy

całkowicie od tego, do czego może popchnąć tamtego jego obłąd. Czuł, jak tęseją mu szczęki, gdy wybełkotał:

— Jak... to możliwe, Morton? W jaki sposób... ty chcesz to zrobić?

Widział przed sobą twarz Mortona, napiętą, pochyloną zachłannie — i oczy: wypełnione jakimś spokojnym szaleństwem, utkwione teraz martwo w jeden, odległy punkt.

Wargi wciąż jeszcze wykrzywiał tamten grymas.

— To proste, Ralston. Nawet nie wiesz, jak proste. Pomyśl: wybrać z całego życia człowieka moment największej męki, najsilniejszego psychicznego cierpienia... Strachu.

Rozpaczy. Sprawić, by trwało to w nieskończoność, przez wieczność. powtarzając się tak jak zacięta płyta... Wiesz, Ryan — dopiero to byłoby prawdziwe piekło... Odetchnął z ulgą: to było niemożliwe. Aby to sprawić, nie pomogłoby nawet naświetlanie go promieniami kappa-2; na szczęście nie potrafił stworzyć Mortonowi istot trwających całą wieczność. Nikt nie potrafi wyposażyć żyjących istot w to, co mogłoby umożliwić ową potworność:

w nieśmiertelność... A jednocześnie ogarnęło go przerażenie na myśl o tym, do czego zdolny był tamten posunąć się w swoim okrucieństwie. W jakiejś chwili olśnienia zobaczył znowu to, co oglądał przez tyle lat swego życia: zserane rakiem tkanki, zmiażdżone kości, poszarpane w wypadkach

ciała — ludzi wijących się w męce, przed którą nie było ucieczki i ratunku. Śmierć i rozpacz we wszelkich przejawach — wszystko, czemu od nowa i tylko po to, by zaspokoić swą pychę, chciał dać początek Morton.

Wyszeptał, przewycięsając gwałtowny skurcz krtani:

— To przecieś straszne, Morton. To, co zamierzasz zrobić...

Morton nie reagował. Podniósł na Ryana swoje martwe spojrzenie, płaskie i puste oczy. Milczał. Ale Ryan milczeć nie mógł. To, co tak długo usiłował powstrzymać, dłużej opanowywać się nie dawało; nie bał się teraz, było mu obojętne, co Morton może z nim zrobić. Zdumienie, oszołomienie i strach — narastające w ciągu tej koszmarnej rozmowy — zmieniły się w nienawiść; syczał przez zaciśnięte zęby:

— Cały twój pomysł... od początku do końca... jest

potwornością, jest zbrodnią... Ja w nim udziału nie wezmę.

W każdym razie — świadomie... Nie chcę. Poczł ogromną

ulgę — właśnie dlatego, że zdecydował, że jednak się

odważył. Stać się takim jak Grey — to było znacznie lepsze

niś — aż do końca życia — dźwigać odpowiedzialność za

udział w dziele Mortona. Czekał. Spodziewał się

wszystkiego, ale w oczach tamtego pojawił się tylko i zniknął

jakiś białawy błysk. Po raz pierwszy od początku rozmowy te

oczy patrzyły w niego z napiętą czujną uwagą, z zimnym,

straszliwym zainteresowaniem, zachłanną

ciekawością; tak można patrzeć na wijącego się owada,

którego tułów rozcina się pod mikroskopem.

— Wybrałeś, Ralston. Sam wybrałeś swój los... A mój świat

jednak powstanie. Będzie istniał.

Nie panując nad sobą Ryan szepnął zdrętwiałymi wargami:

— Jesteś potworem. Morton. Chcesz stworzyć strach i

mękę, skazać inne, myślące i czujące istoty na samotność i

rozpaczkę, na ból i umieranie — tylko dla własnej chwały...

Usłyszał nagle śmiech: szyderczy, drwiący i pełen

okrucieństwa, cienki chichot Mortona. A potem tamten

uspokoił się nagle, tak samo nagle jak przedtem zaczął się

śmiać. W jego głosie był już zaledwie cień tego rozbawienia,

kiedy powiedział:

— Jeśli masz rację, oni... ci, których dla mnie stworzysz...

powinni mnie przeklinać.

— Tak. I tyle tylko zdołasz osiągnąć: będą cię nienawidzić.

Tamtego chwycił atak astmy; dusił się, chrypiał, a mimo

wszystko jeszcze i teraz wydawało się, że wciąż szydzi —

jak gdyby spazmatyczne, kurczowe wdechy były

kontynuacją niedawnego chichotu. Wreszcie, chwytając

płytki oddech, wychrypiał — a w jego rzęsącym głosie

słyszało się istotnie odległe echo ironicznego śmiechu:

— Mylisz się, Ralston... Och, jak się ty się mylisz... Jeśli ich

stworzę... powiedzą, Œe jestem Wszehmądrością i

NajwyŒszą Dobrocią... Uwierzą... Œe jestem godzien

chwały... wszechmocny i miłosierny...

On pierwszy opuścił stanowisko obserwacyjne, minął juŒ

jego czas, przyszła kolej na następnego. **On Drugi** przejął

kontakt. Podłączając się do receptorów zapytał:

— Jest coś nowego?

— Tak. **DQ-x 8** na planecie S-3 przystąpili do stwarzania

następnych Œywych istot.

— To przecieŒ było do przewidzenia. Prędzej czy później

ktoś musi stworzyć to następne ogniwo. JeŒeli im się uda,

nasze zadanie zostanie wypełnione.

— Ale... Kolejne Ogniwo... znaczy, Œe wszystko będzie

powtarzać się od nowa. Œe znowu...

— Wiesz przecieŒ, Œe tak być musi. Tylko w ten sposób

moŒe trwać we wszechświecie Nie Kończący się Łącuch.

Tylko tak Œycie moŒe odradzać się w nieskończoność —

zareplikował **On Trzeci**

Punkt odniesienia

Była trzecia godzina w nocy, godzina najgłębszej ciszy, w

której nic, nawet porządkowe roboty, nie porusza się na

Œadnym z poziomów miasta-warstwowca, kiedy —

zmęczona bezsennością i strachem — zdecydowała się

wcisnąć włącznik yideofonu.

— Pogotowie poproszę — powiedziała. I szybko, zanim

uśmiechnięta uprzejmie, zbyt piękna twarz automatu-

—dyŜurnej mogłaby zmienić wyraz, dodała rozkazująco: —

Poziom dwieście czterdziesty szósty, kwatera Dx-5, ulica

Rewolucji Technicznej 332, mieszkanie 68. Rae Izzin. Ale

automat nie dawał się zbić z tropu, nawet nazwisko nie

mogło tutaj pomóc — twarz dyŜurnej nie drgnęła, uśmiech

był taki jak zwykle.

— Czy to coś powaŜnego?

Objęła obu rękami swoje szczupłe ramiona, jakby jej było

zimno.

— Nie.

— W razie powaŜnych przypadków leczenie jest bezpłatne.

W niegroźnych płaci się... — zaczęła recytować dyŜurna.

— Wiem.

— ...jeśli wezwanie jest nieuzasadnione, koszt półgodzinnej

wizyty...

— I to wiem takŜe.

Zapadła cisza; automat łączył się z ewidencją Medycznego

Centrum.

— Karetka SG, z lekarzem. Będzie za dziesięć minut.

— Dobrze.

Dopiero teraz poczuła, Ŝe jest jej naprawdę zimno; mimo

klimatyzacji, mimo temperatury 27' obowiązującej w tym dniu

dla całego mrówkowca-miasta. Potarła barki rękami, ale nie pomagało. Próbowała nie myśleć o tym; zaczęła chodzić po przekątnej pokoju, przystanąła na chwilę koło pękniętej, lecz za to autentycznej, porcelanowej wazy, której posiadanie napełniało ją taką dumą. Ale tym razem nie potrafiła się cieszyć nawet z tego; pomimo jej wysiłków całe to wnętrze było ohydnie standardowe, nie mogło temu zaradzić kilka nabytych z takim trudem drobiazgów. Schyliła się — na gładkiej powierzchni wazy bieląła matowa plama, wyglądała jak pleśń. Starła ją palcem, potem podniosła rękę i chwilę przyglądała się jej z obrzydzeniem: pleśń była zmorą miasta, nie pomagały ulepszone wciąż chemikalia; wystarczyło przez kilka dni nie wietrzyć jakiegoś pomieszczenia i nie omiatać stołkiem promieni psi, aby białym nalotem pokryła wszystko. O tym także lepiej było nie myśleć. Podeszła do okna, oparła czoło o gładką i chłodną szybę: w fałszywym mroku, emitowanym od dziesiątej do szóstej przez holowizję na wszystkich poziomach myrmipolii, połyskiwały zimnym odbiciem księżycowego światła czuby wysokich topól, których tam nigdy nie było - jak nigdzie już nie istniał Saden z kilkudziesięciu sztucznych krajobrazów, emitowanych — według dowolnego wyboru zajmującego apartament mieszkańca - na zastępujące okna ekrany. Podniosła rękę i przyłożyła je płasko do szyby po obu stronach twarzy;

wydało jej się, że ciemne pnie użew stają się wyraźniejsze w plamach cienia rzucanych przez jej dłonie. Ale to tak było tylko złudzenie. Cerberowizor przy drzwiach wejściowych szczechnął jazgotliwie i krótko; nie czekając na jego pełny meldunek odwróciła się szybko, uruchamiając automat otwierający drzwi. Strach, który zaczął w niej tężeć znowu, osamotnienie, bezradność — wszystko, co przed niespełna kwadransiem kazało jej nacisnąć włącznik videofonu, było teraz w pytaniu:

—Doktorze, pan jest człowiekiem?

— Tak.

Przyjrzała mu się uważnie i nieufnie, jakby chcąc wykryć kłamstwo. Miał dobrą, pocziwą twarz, nie było w nim tej idealnej urody, w jaką — dotychczas — udawało się ludziom wyposażyć jedynie automaty, nie swoje własne potomstwo. I ludzkie było także jego zmęczenie: obwisłe worki pod jasnymi oczyma, zwiotczenie mięśni twarzy. Tak jak i siwe włosy pojawiające się gdzieś w odrastającym, przez wiele godzin nie golonym zaroście.

— Może... — powiedziała spokojniej. — Może to prawda.

Jeśli pan jest człowiekiem, to chyba pan zrozumie.

Uśmiechnął się i ten zmęczony, niepewny uśmiech, zupełnie inny od programowane optymistycznych, prezentowanych jej o każdej porze dnia przez wszystkie automaty, przekonał

ją do reszty. Wydało jej się, że nagle — dopiero teraz, ra/.em
z tą obecnością innego, tak jak i ona znużonego człowieka,
zaczyna być czymś więcej niż tylko śmiertelnie przerażonym
zwierzęciem, zagubionym w masie innych, równie
osamotnionych. Zrobiła krótki, zapraszający gest,
powiedziała:

— Proszę, niech pan siada.

Lekarz usiadł nie patrząc; nie musiał w kilku milionach
mieszkań fotele znajdowały się w tym samym miejscu.

Siedząc popatrzył na nią, przyglądał się jej milcząc,
spokojny, nie zdziwiony - jeden z wielu lekarzy nocnego
pogotowia, wzywany do wypadków, do nagłych zachorowań,
usiłujący leczyć te wszystkie nie znane dawniej schorzenia
rozwijające się lawinowo w miastach-mrówkowcach.

Niezastąpiony, skoro nikt w takich chwilach nie chciał mieć
do czynienia z automatami, właśnie dlatego tak ogromnie
zmęczony — jeden z nieircznych przepracowanych na
świecie, w którym zmęczenie i pracę ponad siły
wyeliminowano już dawno. Lekarz nocnego pogotowia,
oglądający niejednokrotnie takich jak ona, nie umiejących
żyć w nijakim świecie — bez perspektyw i bez przyszłości.

Zagubionych w anonimowej masie mieszkańców
betonowych miast, hermetycznie zamkniętych,
odizolowanych od reszty Ziemi, nie umiejących znaleźć dla

siebie sensu Śycia w pustce kolejnych dni, kulących się nocami w swoich standardowych, przydziałowych mieszkaniach, wśród sztucznych tworzyw, wizji superstereo i jednakowych sprzętów. Prawdopodobnie niewiele mogło go zdziwić, a juŜ na pewno nie to: strach i samotność, ataki lęku przed niczym, nasilające się zawsze o tej samej porze, nad ranem — to, co kwalifikowano od lat dwudziestu jako „syndrom Galbraitha” i co powodowało na kaŜdym z jego dyŜurów „bezpodstawne wezwania”, zdarzające się coraz częściej pomimo wzrastających opłat i coraz wyŜszych kar. Dlatego łatwo jej było mówić do tego zmęczonego męŜczyzny:

— Nie mogę zasnąć. Boję się. — Podniosła ręce i przyłoŜyła je płasko do rozpalonych policzków, jej odbicie w czarnej od sztucznej nocy szybie powtórzyło ten ruch. — Doktorze, nie mam juŜ siły. Nie mogę sobie z tym wszystkim poradzić... Nie poruszył się, czekał. Zaczęła chodzić po ciasnym pokoju (niezbędne minimum przestrzeni, obliczone na kaŜdego mieszkańca myrmipolii przez Ośrodki Badawcze) ciągle z rękami podniesionymi ku twarzy, póki nie zawstydziła się sztuczności tego gestu. Przystanąła. Wiedziała, Őe zaraz zacznie mówić, Őe musi mówić — jakby naprawdę mogło jej przynieść ulgę mówienie o Sprawach, które znali oboje i które, dla Őadnego z nich, nie były niczym nowym.

— LeŜę w ciemności i czuję to całe miasto rozrastające się tuŜ za ścianą — mam wrażenie, jakby te betonowe klatki puchły, pęczniały, naciskały na mnie ze wszystkich stron. Miliony takich mieszkań — koło siebie, nad sobą, jednakowe, jak w pszczelich plastrach. Poziomy miasta nie róŜnią się niczym poza numeracją: na kaŜdym, w tym samym miejscu, wypada kwatera Dx-5, w której Aleja Wschodzącego Słońca przecina w tym samym miejscu i pod tym samym kątem Zaulek Delta i ulicę Rewolucji Technicznej. Wszędzie świeci to samo holowizyjne słońce, wszędzie powietrze nasycają eteryczne zapachy, podobno takie same, jak te prawdziwe... Wystarczy pomyśleć o tym, Ŝeby robiło się niedobrze. A to przecieŜ nie jest jeszcze najgorsze; najgorsza jest świadomość zamknięcia, odizolowania... I to, Ŝe wszyscy jesteŝmy jak zwierzęta: ogłupiałe i przeraŜone zwierzęta, nakryte wielkim, nieprzenikliwym, betonowym kloszem, mogące się poruszać jedynie w tej przestrzeni, którą wyznacza klosz... Poruszył się, więc przerwała — chociaŜ on takŜe nie mógł powiedzieć jej nic nowego:

— PrzecieŜ wie pani, Ŝe nie moŜna Ŝyc poza osłoną, poza sztucznym klimatem mrówkowców-miast. Poprzednie pokolenia zatruiły atmosferę, skaziły wody i prawie całą powierzchnię globu. Ŝycie na Ziemi stało się niemoŜliwe.

Jedynym wyjściem było schronienie się w zamkniętych hermetycznie miastach, więc je wybudowano, wzorując się na konstrukcji baz, tworzonych na powierzchni tych planet Układu Słonecznego, których warunki od samego początku wykluczały możliwość funkcjonowania ludzkiego organizmu.

Przerwała:

— Och. czasem myślę, że lepiej było zginąć. Przecież my umieramy, tylko że dzieje się to o wiele wolniej. Giniemy — tylko inaczej...

— Jak-pani to rozumie?

— Pan jest lekarzem, dla pana liczy się tylko jedno: zachować przy życiu ciało. Czy pan pomyślał kiedy, że żyjąc tutaj my sami zaczynamy stawać się standardowi, upodabniamy się do siebie — tak właśnie jak pszczoły albo mrówki w mrowisku. Zасыpiamy na standardowych łózkach w takich samych mieszkaniach, jemy te same przydzielone potrawy z jednakowych, higienicznych talerzy, których nawet nie można rozbić o ścianę, patrzymy przez identyczne okna w zestaw tych samych kilkudziesięciu holowizyjnych krajobrazów. Kiedy wszystko jest takie samo — gdzie można być u siebie, jakie miejsce może być dla człowieka domem? Gdybym któregoś dnia pomyliła poziomy, czy choćby tylko drzwi, mogłabym wejść do cudzego mieszkania i nie od razu zauważyć, że to nie moje... Ale to jeszcze nie wszystko.

Każdy z nas — raz na miesiąc — musi odstać tę samą gigantyczną kolejkę w Biurze Przydziału Energii, każdy — raz na rok — zarejestrować się w Ewidencji do Spraw Poboru Wody, wykupić bony Automatycznej Obsługi... Kupujemy w tak samo rozplanowanych sklepach te same rzeczy według Kwitów Przydziału, oglądamy te same programy stereowizji, o tej samej godzinie słuchamy jednakowych informacji ze świata, nie wiedząc nawet, czy mówią nam o wszystkim, a to, co mówią — czy jest przynajmniej prawdziwe... W środy i piątki oglądamy ten program z Prezesem Miasta, który zapewnia, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, tak jak powinno być. Jeżeli nie wierzymy... Nie możemy niczemu się przeciwstawiać, przeciw samej rzeczy zbuntować: wystarczy na kilka godzin zamknąć wybrany poziom miasta i wstrzymać tam dostawę powietrza, żeby nie było niezadowolonych czy zbuntowanych. Jesteśmy całkowicie bezradni, a więc — coraz bardziej obojętni, znużeni, zamknięci w sobie; każdy myśli już tylko o tym, jak przeżyć, jak najwygodniej urządzić się w tym świecie. Stajemy się egocentryczni i coraz mniej interesujący dla innych; o czym można rozmawiać z drugim człowiekiem, jeśli on myśli tak samo jak i ja — czego oczekiwać, jeśli — jak ja — nie ma on nic do dania poza swym egotyzmem?

Zaczęła chodzić znowu, te same osiem kroków, zawracając za każdym razem w tych samych miejscach: przed ekranem ściennego stereowizora i koło drzwi.

— Doktorze, już nie mogę. Duszę się. Chciałabym uciec, tylko że nie ma dokąd — wszystkie myrmipolie, na całej powierzchni globu, są w końcu takie same. Wtedy myślę, że jest tylko jedno wyjście i że to może wcale nie będzie boleć...

A potem zaczynam się tak strasznie bać. Boję się. Że ja zrobię, w jakiejś chwili, zbyt szybko, żeby zdążyć pomyśleć — a potem będzie za późno, by móc cokolwiek odwrócić. I będę wiedziała, że jest za późno właśnie wtedy, kiedy zrozumiem, że boję się — bo tak naprawdę wcale tego nie chciałam...

Przystanąła i oddychała głośno, pośpiesznie, ten oddech słyszeli teraz oboje; było tak, jak gdyby ktoś — zdyszany — starał się dobiec donikąd, jeszcze nie wiedząc, że droga, którą wybrał, nigdzie nie zaprowadzi. W ciszy uśpionej myrmipolii, za ścianami mieszkania, budziły się odgłosy poprzedzające narastanie dnia: skrzyp pojazdów dostawczych, szelest przejeżdżających polewarek zmywających ciasne ulice, rozbryzgujących płaskie fontanny wody na skąpo wydzielone klomby rozkwitających w ciepłe sztuczne słońca kwiatów. Ale do świtu było jeszcze daleko — holowizyjnej ciemności za oknami nie nasączało światło,

nie rozmywał szarawy brząsk. Zaczęła mówić znowu, tylko

Œe teraz jej głos był matowy i obcy, chwilami obojętny:

— Jestem zmęczona. Zmęczona samotnością. Czy pan

rozumie? Zgodziłam się zapłacić za pana przyjazd,

zgodziłam

się na karę za „bezpodstawne wezwanie”, Œeby ktoś pół

godziny był ze mną i rozmawiał. Zajął się mną, próbował

pomóc. Œeby przez chwilę interesował się moim Œyciem

drugi człowiek... — drobne i gorzkie bruzdy osiadły w kątach

jej umalowanych warg. Odwróciła się, przez chwilę bez

zainteresowania, jakby to był zupełnie obcy, martwy

przedmiot, przyglądała się własnej twarzy: szeroko

rozstawione kości policzkowe, zielone oczy w zmrŒeniu

srebrnych rzęs, brwi czarne, prawie proste, malowane

rŒowo nozdrza i konchy uszne. Wiedziała, Œe jest piękna.

Dzięki tej wiedzy łatwiej było powiedzieć:

— Mam dosyć samotności. — **Iz** nagłą gwałtownością: —

Proszę zrozumieć, Œeby nie oszaleć do reszty w tym

obrzydliwym, nijakim, standardowym świecie, trzeba mieć

kogoś swojego. Chcę mieć kogoś swojego. Kogoś, dla kogo

zawsze byłabym najważniejsza, kto nie potrafiłby się beze

mnie obejść, dla kogo byłabym wszystkim. Kogoś, kto by

mnie kochał...

— Kiedyś moŒna to było mieć zupełnie po prostu... —

powiedział w zamyśleniu. Przeciągnął ręką po twarzy, jakby z niej coś zdejmował, jakby się chciał od czegoś uwolnić. — Ale nie dziś. Pani chce niemożliwości. Tak nikt nie potrafi już kochać.

Poruszyła się niespokojnie, podniosła ręce, zacisnęła je, a pobielały kostki palców. Po jej ustach przesunął się mały i szpecący je cień: niecierpliwości, uporu.

— Nikt?

— No, może — krótko — dziecko. Pani powinna mieć dziecko.

Ten cień pogłębił się, teraz ją także postarzał.

— Przecież pan dobrze wie, że ci z syndromem Galbraitha nigdy nie dostają pozwolenia na dziecko, pomimo że tak mało osób decyduje się na to — pomimo propagandy, ulg podatkowych i antystandardowych przydziałów. Ja zresztą także — nie chcę, żeby przez całe życie wegetowało w tej albo innej myrmipolii — tak samo jak i ja? Przecież nie ma nadziei, może być tylko gorzej... Przy tym — mnie samej nic to nie da. Po roku będę musiała oddać je do Ośrodka Przystosowania Społecznego, a potem, w czasie dorocznych wizyt, patrzeć, jak upodabnia się do wszystkich w tym mieście... Nie. To nie jest łatwe wyjście. Chciał mówić, ale nie pozwoliła mu dojść do głosu.

— Wiem, co pan teraz chce mi powiedzieć, doktorze, co —

pana zdaniem — powinien mi pan powiedzieć. Proszę tego nie mówić. To takŜe nie jest wyjście. Próbowalam. Ja takŜe myślałam kiedyś, Ŝe jeśli nie moŜna mieć wszystkiego, powinno się umieć przyjąć to, co posiadać się da. Czyjaś bliskość fizyczną, jeśli nie moŜe być inaczej. Czyjaś obecność, jeśli to wszystko, co jeden człowiek potrafi dać drugiemu człowiekowi. Naprawdę próbowałam. MoŜe dlatego, przez ponawianie tych prób, jestem taka zmęczona. Nie będę znowu szukać, znowu się ludzi. Ŝaden z was nie potrafi juŜ kochać, jedyne, czym potraficie obdarzyć, to wasze zniechęcenie, wasz niepokój i wasz wieczny egoizm. Nie chcę juŜ ryzykować. Nie chcę mieć znowu nadziei i ludzi się od nowa, Ŝe dla jakiegokolwiek męŜczyzny mogę stać się kimś waŜnym, najwaŜniejszym. Kimś naprawdę potrzebnym... Po to, by się przekonać, Ŝe z wszystkich spraw w jego Ŝyciu ja liczę się najmniej... I proszę mi nie mówić, Ŝe jestem przemęczona i Ŝebym wzięła serię wzmacniających naświetlań czy zaŜywała tonizujące proszki. To nie pomaga. Trankwilizatory są tak samo bez sensu jak jeszcze jeden męŜczyzna — zajęty sobą, mogący dać mi tylko jedno:

niepewność. JeŜeli pan nic więcej nie umie mi poradzić, lepiej, Ŝeby pan milczał. Proszę mnie tylko słuchać. Nie jestem pierwszą ani ostatnią pana pacjentką gotową płacić

tylko za pański czas, za to, Œeby przez kilkadziesiąt minut

ktoś jej poświęcił trochę swojej uwagi...

— Ma pani rację, nie umiem pani pomóc. — Nie poruszył

się, patrzył na nią z tym samym wyrazem twarzy, co na

początku rozmowy, patrzył tak nawet wtedy, gdy znowu

zaczął mówić: — Mam na myśli: pomóc w ten sposób, w jaki

lekarz powinien... Widzę dla pani właściwie jedno wyjście...

— znów urwał, krótką chwilę przyglądał się jej z namysłem,

jak gdyby oceniał, jakby — wbrew własnym słowom — miał

postawić diagnozę. — To rozwiązanie nie ma właściwie nic

wspólnego z moją wiedzą medyczną. Ani z medycyną w

ogóle... Powiedzmy: poradzę pani w taki sam sposób, w jaki

mógłby to zrobić przyjaciel czy znajomy. Tylko Œe nie wiem,

czy realizacja... Widzi pani, to rozwiązanie jest dostępne

tylko dla bardzo bogatych ludzi.

— Jestem bardzo bogata — powiedziała sucho.

Potaknął głową, jakby juŜ o tym wiedział (drobiazgi

z prawdziwego drewna, porcelanowa waza, obrazy

malowane

na płótnie — to wszystko, co odbijało od standardowego

wnętrza tego mieszkania i na co mogli pozwolić sobie

jedynie ludzie uprzywilejowani), jak gdyby właśnie

spodziewał się potwierdzenia. Powiedział:

— A więc niech pani zamówi sobie viborga.

— Automat?

— Viborg to nie automat. Biologicznie niczym się od człowieka nie różni. Poza — sposobem powstania. Po prostu... jego poczęcie, rozwój i dorastanie odbywa się w specyficznych warunkach, w laboratorium... Dzięki temu cały ten proces może być kilkaset razy skrócony. I można mu zaprogramować psychikę, wyposażyć we wszystkie wybrane przez siebie cechy, każde z uczuć... Jeśli pani istotnie chce stać się dla kogoś najważniejsza, kochana bezkrytycznie, bez względu na okoliczności... Jeśli chce mieć pani pewność i przede wszystkim pewność — powinien to być viborg...

Nie poruszyła się. Stała z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała, jej oczy — od trzech miesięcy patrzące na każdego z setek plansz reklamowych na wszystkich poziomach miasta — stały się nagle zmęczone, jakby ciemniejsze; lekarzowi wydało się, że wcale nie są aż tak piękne. Powiedziała: — Więc doszliśmy tak daleko, że musimy tworzyć sobie inne, sztucznie ograniczone istoty, których program zabezpiecza nas przed wymknięciem się ich spod naszej kontroli — żeby się czuć bezpiecznie? Więc człowiek nie potrafi być szczęśliwy z łatwym innym człowiekiem? I już zupełnie niczego nie można od niego oczekiwać? Nie odpowiedział. Po ustach jej prześliznął się ten drobny,

niecierpliwy, nieładny cień. Odwróciła głowę, jakby chciała go ukryć przed patrzącym mężczyzną; granat holowizyjnej nocy wypłowił, nad nieruchomo i czarno rysującymi się czubami topól mieszając się z zielonkawym błękitem.

Dorzuciła:

— I to już musi być — tak?

— Jeśli nie można mieć tego, czego się pragnie, musi się mieć protezy... — powiedział cicho. Teraz oboje patrzyli w szybę-ekran; drzewa były ciemniejsze niż przedtem, zielen przedświtu nasączała się zimnym, słotym blaskiem. I patrząc na to Rae pomyślała, że chciałaby dowiedzieć się, wiedzieć na pewno: czy tak samo wygląda prawdziwy świt.

Kiedy się obudziła, ta noc wydawała jej się czymś ogromnie odległym i całkiem nierealnym; leżąc z brodą opartą na nagim przedramieniu patrzyła w srebrno podbite, połyskujące liście, poruszające się jednostajnie, jakby drżały na wietrze. W słonecznym świetle wszystko było zupełnie inne, nawet ten krajobraz. Nie czuła w sobie śladu nocnego podniecenia i lęku — pomimo to wiedziała, że jest zdecydowana i że to zrobi, nie tylko po to, by uchronić się przed takimi nocami. Lekarz miał rację — jeśli nie potrafiło się znieść samotności w miastach-mrówkowcach, nie było innego wyjścia.

Wstając pomyślała, że widok w oknie znudził ją ostatecznie i

czas najwyższy, żeby zamówić inny; mimo to konferencję z automatami, przyjmującymi zamówienia w Stacji Krajobrazów, odłożyła na później. Spieszyła się — po raz pierwszy od dawna miała do czego się spieszyć. W małej łazience woda ciekła niemrawo — zdarzało się to czasem — z sarkazmem pomyślała, że na szczęście nie psują się Bczyszczacze powietrza; prawdopodobnie ich pracę dozorowano dokładniej.

Ten wcale nie najgorszy poranny nastrój opuścił ją natychmiast, gdy tylko drzwi mieszkania zatrzasnęły się za nią. W codziennym ruchu myrmipolii poczuła się osaczona, obca, wyłączona z wszystkiego. Ludzie mijali ją — hałaśliwi albo milczący, zajęci sobą lub po prostu pozwalający unosić się tłumowi, zubożeni, tępo patrzący pod nogi. Niektórzy żuli tormalin, inni lizali czerwono-czarne, długie pałeczki syndrotoksu kupowane w ulicznych automatach czy ogryzali połyskliwe stożki terceny, plując pestkami na chodnik i rozstępując się odruchowo, gdy na swych szczotkowatych podstawach podjeżdżały śmieciochłonne automaty, czarnymi czujnikami i garbatą sylwetką przypominające jej oglądane w archiwalnych programach stereo, dawno wymarłe, połyskliwe owady. Stłoczony potok ludzki przepływał przez wnętrza sklepów w nieustającej, choć najczęściej płonnej nadziei, że w którymś z nich napotka

niespodziewanie nadwyżki reglamentowanych,
pozaprzędziowych towarów, gotów — po staniu w
wielogodzinnej kolejce — nabywać każdą rzecz, zupełnie
niepotrzebnie, tylko dlatego, że nie jest standardowa.

Członkowie sekty Równości Absolutnej, spleceni ramionami,
przebijali się grupami przez tłum, 'Dzieci Milczenia siedziały
na chodnikach, zapatrzone przed siebie niewidzącymi
oczami — tylko w ich twarzach widział się łagodność i
senne odprężenie; inne wydawały się twarde, napięte, jak
nic nie skrywająca, kurczowo zamknięta pięść. Wszystkich
łączyło jedno: z śaloną rezygnacją starali się przystosować
do życia, którego zmienić nie było można. Na elewacjach
budynków białeły ponadrywane, spłowiałe obwieszczenia,
niezmiennie zaczynające się od słów:

„W trosce o dobro mieszkańców myrmipolii...”; a wyżej, ponad tłumem, unosiły się
wielowymiarowe, olbrzymie.

barwne reklamy, w których najczęściej powtarzały się
zdjęcia jej władnej twarzy, nie tak dawno wybranej
spomiędzy innych w dorocznym Konkursie Myrmipolii.

Zawahała się, czy wejść na estakadę — nie była pewna, w
którą stronę powinna skręcić do centrali Bio-Vitu — i to
wzwanie już wystarczyło, by tłum spływający wolno na
wirostradę łączącą dwa poziomy poniósł ją ze sobą.

Ogarnęła ją ciemność między poziomowego tunelu, poczuła
ciepły podmuch rozwiewający włosy, niemal w tej samej

chwili widząc ponownie sztuczne niebo nad sobą, z takimi samymi jak na poziomie dwieście czterdziestym szóstym cumulusami i takim samym słońcem, jakby rozmytym delikatnie przesłaniającą je mgłą. Nawet kształt chmury nasuwającej się właśnie na słoneczną tarczę był taki jak tam, wyżej — taki sam na wszystkich poziomach, i to tak znane zjawisko powiększyło jeszcze jej przygnębienie.

Przystając nad brzegiem sunącego wolno, zewnętrznego chodnika pomyślała: „Kilkaset takich słońc, każde z nich przesłonięte tą samą białą chmurą. Kilkaset takich poziomów, każdy z błękitnym, holowizyjnym niebem. Dzisiaj. Bo jutro w mieście-warstwowcu niebo może wyglądać tak, jakby właśnie zanosilo się na burzę, chociaż burzy nigdy nie będzie, bo skąd mieliby wziąć i dokąd odprowadzić taką ilość pozaplanowej wody. Nawet zmiany pogody, jak wszystko tutaj, planowane są z góry, narzucane nam bez pytania o zgodę, ustalone przez jakieś tam ośrodki — zgodnie ze wskazaniami psychoneurologów czy biometeorologów, wszystko jest higieniczne, bez niespodzianek, bez zaskoczeń. Kilkaset takich miast, połączonych ze sobą tunelami komunikacyjnymi, miast, w których toczy się całe ludzkie życie. I to już wszystko.

Wszystko, co pozostało z Ziemi”. Cofnęła się pod ścianę upstrzoną trójwymiarowymi, krzykliwymi reklamami jakichś

dezodorantów, niskosłodzonej galaretki z glonów,
zdrowotnej mączki, na którą — po pewnych uzdatnieniach
— przetwarzało się pleśń. Tłum przepływał tu obok,
identyczny jak tamten, z niższego poziomu: zęby w gryzające
się w stożkową tarczę, języki chciwie oblizujące
czerwono-czarny syndrotoks, tępe, bezmyślne oczy nad
poruszającymi się miarowo suchwami przesuwaczy tormilu.
Nie było nikogo, kto by się do niej uśmiechnął, ani jednej
przyjaznej czy tylko zainteresowanej twarzy. Poczula, że się
dusi, cofnęła się o krok jeszcze, plecy napotkały zimny i
twardy opór, odwróciła się: stała twarzą w twarz z samą
sobą — olbrzymia, uśmiechająca się ogromnymi,
czerwonymi wargami Rae wskazywała wewnątrz sklepu
wypełnionego ohydnie jaskrawymi naczyniami z
połyskliwego plastiku —
i na *mysi* o kilkuset powiększonych, uśmiechniętych
odbiciach własnej twarzy, na każdym poziomie miasta w tym
samym miejscu reklamujących identyczne, równie tandetne
plastikowe nakrycia, poczuła nagle do samej siebie wstręt.
Jej uwagę zwróciło histeryczne popiskiwanie bliskiego
radiolokatora; pustą przestrzenią pozostawioną dla niego
przez rozstępujących się ludzi nadchodził jeden z
wyznawców Idei Wewnętrznego Kręgu, z głową osłoniętą aż
do połowy czoła tarczą superwizora, z oczami przykrytymi

ciasno przylegającymi, czarnofioletowymi płytkami, wpatrzony i wsłuchany we własny iluzoryczny świat. Nie zauważył sukopodobnego, błyszczącego robota, który nadjeżdżał z przeciwnej strony. Nie zauważył, a może ten lokator ostrzegł go zbyt późno, bo nagle zobaczyła, jak człowiek i maszyna zderzają się ze sobą. W chwilę później robot leżał na grzbiecie zgrzytając wściekle obracającymi się w powietrzu szczotkami, a człowiek — rozplaszczony obok. Wyrzucane z wnętrza kadłuba śmieci opadały na niego; nie próbował zasłonić się, leżał na wznak, jak porzucona kukła, ręce i nogi drgały mu serią miarowych skurczy. Hełm spadł z głowy, oczy odarte z dobrowolnej ślepoty zapatrzenia w nieistniejący świat — patrzyły tępo w sztuczne, jasnoblękitne niebo z zasypywanej śmieciami i odpadkami twarzy. Odwróciła się i zaczęła biec, sama nie wiedząc dokąd. Spojrzenia mijanych ludzi zwracały się w jej stronę, na krótko, nieważnie, niemal w tej samej chwili obojętniejąc znowu. Z wolna traciła oddech, serce biło nierówno, zaczęła się potykać. Pomyślała, że jeśli upadnie, nikt nie przystanie, by jej udzielić pomocy; ludzie będą ją mijać, jakby nie dostrzegali wcale, tak jak przed chwilą tamtego człowieka. Być może ta świadomość pomogła jej się opanować, a może tylko zabrakło siły, żeby biec dalej. Zatrzymała się na skrzyżowaniu ulic; oddzielone wąską

barierą pola przemykały bezszelestnie pojazdy; stojąc w
przesuwających się płynnie smugach ich sygnalizacyjnych
światła stwierdziła, że jeśli do tej pory miała jakieś skrupuły, teraz pozbyła się ich zupełnie i
ostatecznie. „Cóż z tego, że
taki viborg to tak że żywa istota — pomyślała z zimnym i
twardym egoizmem. — Jeśli w ten sposób ja mogę być
szczęśliwa, jeśli mnie będzie dobrze. Nie warto tracić czasu
na śladne rozmyślenia, wahania czy niepokój: trzeba, jak inni
tutaj, po prostu starać się urządzić tak wygodnie, jak to się
tylko da”. Może to był przypadek, a może przez cały czas,
podświadomie, kierowała się właśnie w tę stronę, bo gdy się
odwróciła, zobaczyła przed sobą, na wysokości oczu,
światlisty napis, spływający jak leniwa kaskada z szarego
bloku, wciśniętego pomiędzy dwa wysokie, niemal zupełnie
zakryte reklamami wieżowce — jak gdyby właśnie po to, by
nie rzucał się nadmiernie w oczy przechodzących. „Bio-Vit
Company”. Podniosła rękę i zakryła nią usta, przez chwilę
stała tak, zupełnie cicho, prawie nie oddychając, i patrzyła,
jak blada, złotozielona barwa wznosi się, aby znowu
powtórzyć ten sam napis. A potem szybkim i pewnym
krokiem weszła w otwierające się przed nią zalane światłem
drzwi.

Speszyła się na chwilę, widząc, jak zza wielkiego,
plastycznego biurka podnosi się wysoki i przystojny automat
— wolałaby mieć za partnera swojej transakcji człowieka, to

wydawało się bardziej naturalne. Ale widocznie twórcy „Bio-

Vit Company" myśleli tak samo: automat przeprowadził ją

tylko do drugiej, nie tak jasnej i olśniewającej sali.

Tam już przyjął ją człowiek, nie robot; nie mogła mieć

wątpliwości: nikt nie konstruowałby automatu z płaską,

obwisłą twarzą, w której nos, oczy i małe, wysunięte,

podobne do kurzego kuperka usta znajdowałyby się tak

blisko siebie, stłoczone w samym środku, otoczone szeroką,

płaską przestrzenią zalanych tłuszczem podbródka i

policzków. Ale to wszystko nie odbierało przedstawicielowi

„Bio-Vitu" pewności siebie; nie zdążyła dobrze rozejrzeć się po niewielkim kantorze, a już siedziała, zavalona stertą

rzucanych jej triumfalnie konspektów, z których patrzyły na

nią oczy we wszystkich możliwych kolorach — od prawie

czarnych, z kroplą oleistego blasku, typowych dla

Afrykanów, po chłodne, jasne tęczy mieszkańców

północnych myrmipolii. Przez chwilę siedziała nieruchomo,

ogłuszona gwałtownością jego wymowy i oblegana przez

twarze rojące się w tej powodzi prospektów, potem

zdecydowanym ruchem odsunęła je na bok; ześliznęły się z

jej kolan na podłogę z sypkim i śpiewnym, tak

charakterystycznym dla polipieru, szelestem.

— Nie — powiedziała zdecydowanie. — Nic z tej seryjnej

produkcji, Śadnego klonowania, choćby dawca miał być

mistrzem te-kuro i mister miasta do tego. Chcę, Śeby „to"

było niepowtarzalne, zrobione tylko dla mnie. Jeden, jedyny egzemplarz. Taki, jakiego ja chcę. MęŜczyzna frasobliwie potarł podbródek — granatowy mimo gładko wygolonego zarostu. Powiedział z wahaniem:

— To... dość kosztowna impreza. Takie viborgi zaliczamy do klasy Ekstra Star-Super, ze znakiem Q-1...

Miała to samo uczucie, co w chwili gdy zniecka spojrzała we własną twarz reklamującą plastikowe szkaradztwa. Było coś obrzydliwego w tym handlu, w prospektach, wciąż jeszcze leŜących u jej nóg — i w tym męŜczyźnie takŜe, gotowym z największą skwapliwością zachwalać swój towar.

Przez chwilę miała ochotę wstać i odejść bez słowa.

Przemogła to, siedziała nieruchomo, tylko w kącikach ust pojawił się znów ten nieładny i twardy grymas. Powiedziała:

— Mojej decyzji nie uzaleŜniam od wysokości kosztów.

Niech więc to będzie ten wasz... Super-Ekstra-Star. Patrzył na nią z szacunkiem; pomyślała, Őe gdyby to było moŜliwe, stałby się teraz jeszcze bardziej gorliwy, nadskakujący, a jednocześnie — bezczelny. Ale nie było. Więc tylko przysunął swoje krzesło do jej fotela, pytając konfidencko:

— Pani jest... Rae Izzin, prawda? Od początku wiedziała, Őe ją poznał; dawno juŜ nauczyła się odczytywać błyskawiczne i taksujące spojrzenia męŜczyzn, porównujące ją jakby

ukradkowo z tymi wszystkimi jej twarzami, narzucającymi się malowanym uśmiechem niemal na każdym rogu. Ale to teraz nie mogło mieć znaczenia, więc powiedziała chłodno:

— **Czy** to naprawdę ważne? — I w ciszę, jaka zapadła po tych słowach, z zimnym i wyniosłym uśmiechem, który jej przyniósł sławę w „Oczekiwanych” rzuciła: — Więc co mam zrobić, żeby mieć tego viborga?

— To proste. — Widać było, że zrezygnował ze wszystkich sztuczek i teraz chce już tylko jednego: dobrze sprzedać towar. — Ekstra-Star-Super Q spełnia wszystkie, nawet nieświadomione pragnienia swojego właściciela. Aby to osiągnąć, musimy mieć zapis pracy mózgu osoby zamawiającej. Na tej podstawie wysoko specjalizowany automat sporządza matrycę produkcyjną viborga.

— Rozumiem. — **Oczy** miała chłodne i czujne. — **Czy** można zrobić to zaraz?

— Tak, oczywiście. Tylko, że... Rae, pani jest bardzo piękna. Właśnie pani mogłaby... Może jeszcze spotka pani człowieka...

Brzydka bruzda w kąciu ust pogłębiła się, postarzając ją nagle o kilka lat. Powiedziała wysokim, czystym głosem, jasnym i dźwięcznym jak bio-plexowe szkło:

— Przecież pan wie: to prawie niemożliwe. Nikt nie ma nic do dania innemu człowiekowi. Tak jak i ja... — A potem,

kiedy nie odpowiadał, a jego blisko osadzone oczy spjrzały na nią z cieniem szyderczej wiedzy, zbędnej, skoro właściwie nie mogła mu się na nic przydać, dorzuciła: — Kiedy będę mieć mego... Super-Ekstra Q? — To musi potrwać trochę. Cykl produkcyjny mamy skrócony do minimum: cztery miesiące od umieszczenia jaja w inkubatorze po uzyskanie dorosłego człowieka. Dochodzi jeszcze okres oczekiwania w kolejce na przystąpienie do realizacji kolejnego zamówienia. Mamy sporo klientów — to doskonały produkt, zresztą sama pani zobaczy... Wszystko razem jakieś siedem miesięcy. — Teraz on wstał, dając do zrozumienia, że tę rozmowę uważa za zakończoną. — Proszę spodziewać się dostawy w początku października. Do domu, oczywiście. Po sporządzeniu zapisu z pani mózgu sekretarz zanotuje adres. I pani konto także. Ach, jeszcze jedno: formalności związane z pojawieniem się w myrmipolii nowego mieszkańca ułatwia także „Bio-Vit Company”... Wydało jej się, jak gdyby się zawahał: przez chwilę patrzył na nią z takim wyrazem twarzy, jakby chciał jeszcze coś dodać, jakby zamierzał ją ostrzec. Ale zrezygnował. A może to wszystko było złudzeniem: co mógłby jej powiedzieć, przed czym mógłby ostrzegać? Kiedy ją odprowadzał, nie myślała już o tym, idąc ku drzwiom i później, w ciemnej,

dusznej kabinie — kiedy poczuła na głowie chłodny ucisk elektrod, myślała tylko o jednym: „Chcę, żeby on był mój. żeby jego świat kręcił się wokół mnie”.

Chyba zmyliło ją to słowo: dostawa, bo spodziewała się właśnie czegoś takiego: platforma transportowa, tragautomaty wnoszące do mieszkania podłusną skrzynię, otwieranie szczelnie dopasowanego wieka, witalizacja.

Dlatego kiedy cerberowizor oznajmił, że ma gościa, ukazując jednocześnie w ekranie jego przystojną, trochę chłopięcą twarz, nie powiązała tych niespodziewanych odwiedzin ze swą wizytą w „Bio-Vit Company”, chociaż był to październik.

Pobiegła sama do drzwi — prawdziwe, nie videofoniczne odwiedziny zdarzały się tak rzadko w miastach-warstwowcach, a przyście kogoś obcego właściwie prawie nigdy.

Stał w otwartych drzwiach, jakby trochę speszony czy niepewny przyjęcia; nie widziała go nigdy, co do tego nie miała wątpliwości. Patrzyła: jasne, nieomal płowe włosy, szare oczy, szczupła, nerwowa twarz, zbyt wrażliwa, zbyt ostra, która byłaby chyba takse zbyt piękna, gdyby nie jakiś cień — rezygnacji -- znużenia wokół ruchliwych warg. Gdy tak patrzyła, powiedział:

— Nazywam się Terry. Torrence Mc'Gail. — I zaraz, jak gdyby odpowiadał jej nierozumiejącemu spojrzeniu: —

Przecież czekałaś na mnie. Czekasz. „Coś pokręcili — pomyślała. — Przecież nie lubię, nigdy nie lubiłam blondynów”. Właśnie wtedy Terrence się uśmiechnął. Ten szybko przemijający, nieśmiały uśmiech zmienił coś nagle — jeszcze nie rozumiała co. „Widocznie jednak komputer wie to lepiej” — uzupełniła, jakby to drugie zdanie nie przeczyło pierwszemu. Komputer wiedział lepiej. Stojąc bez ruchu w ciągle otwartych drzwiach patrzyła na tę twarz, zapominając, że z jej mózgu wybrano to, co sprawiło, że on jest właśnie taki, że — w jakiś sposób — to ona powołała go do życia. Była zmieszana, jak kiedyś, dawno, na którymś z pierwszych spotkań — jakby nigdy dotąd nie istniał Saden mężczyzna, jak gdyby nie nauczyła się jeszcze niczego, bo teraz nie wiedziała, co zrobić, żeby mu się podobać.

— Wejdz — powiedziała lekko schrypniętym głosem. I w swym nagłym zmieszaniu, w niepewności ogarniającej ją pod spokojnym spojrzeniem szarych, świetlistych oczu dodała niepotrzebnie: — Ja jestem Rae Izzin...

— Wiem.

Drzwi zamknęły się za nim, stali naprzeciw siebie w ciasnym przedpokoju i chyba po raz pierwszy to, co od reszty miasta odgradziły zamykające się drzwi, było naprawdę Domem, miejscem znanym i własnym, w którym można się schronić, spokojem, uciszeniem. Za ścianą... Nie, Saden świat nie

istniał poza tymi ścianami.

— Terry — powiedziała. — Terry. — To było tak, jakby

uczyła się jego imienia, a potem zrobiła krok, ten jeden mały

krok, jaki ich dzielił; chciała go dotknąć czy przytulić, ale nie potrafiła, nawet tego musiała nauczyć się od nowa. nauczyć,

jak to jest właśnie z nim. Więc tylko powiedziała: .

— Jesteś. Och, jak to dobrze, Œe jesteś, Œe istniejesz...

Widzisz, ja nie wiedziałam, Œe aŒ tak bardzo czekam. Na

ciebie. Œe aŒ tak bardzo chciałam, Œebyś to był ty... Myślała,

Œe on teraz wyciągnie do niej ręce, Œe zacznie działać w nim

program, ale on stał spokojnie i cicho, tak jak i ona —

niepewny, zaŒenowany — i wtedy przyszło jej na myśl, Œe

moŒe nie ma w nim Œadnego programu, Œe to po prostu jest

— człowiek. Po raz drugi przestraszyła się, bo to, co

odnalazła w sobie tak niespodzianie, mogło być odrzucone,

nie odwzajemnione. Odsunęła się, znów mogła widzieć jego

twarz. Powiedziała niepewnie suchymi i sztywnymi wargami:

— Podobam ci się, Terry?

Uśmiechnął się, popatrzył na nią z zachwytem. Widząc jego

czułe i rozświetlone oczy pomyślała, Œe wreszcie jest

szczęśliwa. I pochylając głowę dawno juŒ zapomnianym,

kapryśnym ruchem rozpieszczonego dziecka, wierzącego,

Œe wszyscy, zawsze, cokolwiek by zrobiło, będą je kochać,

powtórzyła:

— Jaka ja jestem — ładna? Podobam ci się, Terry?

Powiedz.

— Jesteś śliczna, Rae... Wiesz o tym...

Tej nocy po raz pierwszy budziła się nie ze strachu przed samotnością i pustką, tylko po to, żeby ciągle od nowa upewniać się, że on jest. W łagodnej, miękkiej ciemności słyszała jego oddech, czuła jego obecność i jego ciepło — po

raz pierwszy od bardzo dawna bezpieczna, w poczuciu, że jest komuś niezbędna. Kiedy okna-ekrany zaczęły jaśnieć, patrzyła, jak jego twarz staje się wyraźniejsza w szarości świtu, a włosy bardziej płowe, jak rzęsy drgają w coraz jaskrawszym blasku.

A potem był ten ich pierwszy dzień — najpiękniejszy, skoro nic jeszcze nie było aż do końca wiadome i poznane, a wszystko — oczekiwane, przeczute. Kiedy każda rzecz mogła się zdarzyć, bo nic — dotychczas — nie zostało zrealizowane.

— Terry, wstawaj, miły... — jasna głowa, zakopana w poduszki, zaciśnięcie powiek broniące ostatków snu. Rzęsy były ciemniejsze od włosów i od brwi, to stanowiło jeszcze jedno z niespodziewanych odkryć, drobnych i przejmujących jak nagły skurcz serca. Oddychał we śnie głęboko i miarowo, szeroka klatka piersiowa unosiła się regularnym oddechem, światło sztucznego słońca rozjaśniało jeszcze bardziej

krótkie, złociste włosy porastające tę pierś. Znów czuła radość: *Œe tak śpi, Œe oddycha, Œe jest. Œywy, prawdziwy człowiek. Jej własny.* — Terry, nie chcę jeść sama. Obudź się, obudź. Nie myślałam, *Œe z ciebie aŒ taki śpioch...* Nawet jaskrawe plastikowe talerze nie wydawały się tak ohydne jak zwykle, a galaretki z glonów tak jadowicie zielone. Miała teŒ lepszy smak. Stolik podleczył się do łóŒka, nie było sensu czekać, aŒ Terry się rozbudzi; Rae schyliła się, pocałowała jasne, zmierzwiłone włosy. Otworzył jedno oko, rozbawione i czułe, uśmiechał się — ten uśmiech pojawił się natychmiast, razem z przebudzeniem.

— Rozpuścisz mnie zupełnie, Rae, wiesz? JuŒ to robisz.

I jesteś tak śliczna... Masz bardzo ładny szlafroczek. Zielony.

Prawie jak twoje oczy...

A jednak juŒ tego dnia wybuchła ich pierwsza kłótnia.

ChociaŒ mówiąc te słowa nie wiedziała, *Œe w konsekwencji*

aŒ tam ich zaprowadzą — takie były zwyczaje, nic nie

znaczące:

— Pij neskę. Zobacz, naprawdę dobra. Inny gatunek niŒ ten

zwyczajny ekstrakt, z przydziału. Wyszukałam ją sama w

takim nieduŒym, zabawnym magazynie... Musiałam stać w

kolejce prawie cztery godziny.

Spróbował zaraz, posłuszny jak grzeczne dziecko i —

właśnie jak grzeczne dziecko, potwierdził skwapliwie:

— Rzeczywiście, wspaniała. Ale nie tylko gatunek. To ty ją świetnie zrobiłaś.

Przez chwilę siedziała zupełnie nieruchomo, trzymając mały kubek przy ustach — nie piła, oddychała na pozór zupełnie zwyczajnie i lekko, wdychając niewielkimi haustami ciepłą, pachnącą parę. Tylko w gardle tkwiła bolesna kulka, rozrastała się — coraz twardsza, coraz bardziej dławiąca.

„To niemożliwe...” — pomyślała, chcąc siebie uspokoić, ale wiedziała, że to jest jednak możliwe, podejrzenie zaczynało zmieniać się w pewność. Bardzo spokojnie odstawiała naczynie. Sięgnęła na chybił-trafił, jej palce dotknęły brzegu plastikowego talerza, podniosła ten jaskrawy, seryjnie sztancowany krążek plastiku. Powiedziała głosem prawie całkiem zwyczajnym:

— Podoba ci się, Terry? Uważam, że talerzyki są bardzo ładne. I takie kolorowe...

Miała nadzieję, że parsknie śmiechem; naprawdę trudno byłoby o większe paskudztwo niż ta seryjna zastawa. Ale on odpowiedział posłusznie, z najgłębszym przekonaniem:

— Oczywiście. Przecież inaczej nie podobałyby się tobie,

Rae...

Nie rzuciła talerzem tylko dlatego, że to by nic nie dało:

i tak by się przecie nie stłukł. Odstawiła go na to samo miejsce, uśmiechnęła się spokojnie, jakby nie czuła coraz twardszego ucisku w gardle i coraz większej chęci, by się natychmiast rozplakać. Powiedziała jasnym, sztucznie zrównoważonym głosem:

— To miłe, że mamy jednakowe upodobania... — Milczała chwilę, chciała być pewna, że w dalszym ciągu zdoła panować nad głosem. I jakby coś sobie nagle przypominając: — Och, Terry, zupełnie zapomniałam: mam coś do załatwienia. Ale to wcale nie znaczy, że ty się musisz spieszyć. Wyjdę i zaraz wrócę. Jej głos był ciągle spokojny i rozważny, gdy — w pół godziny później — łączyła się z przedstawicielem „Bio-Vitu” z odległej o dwie przecznice, publicznej rozmównicy:

— Jak pan mógł mi to zrobić. — **Oczy** miała ciemniejsze niż kiedykolwiek, rozsalone i złe, wydawała się starsza, bardziej zmęczona, właściwie niemal brzydka, ale to teraz nie obchodziło jej ani trochę. — Jak pan mógł zrobić z niego kogoś tak bezwolnego, tak zupełnie pozbawionego własnych sądów, własnego zdania, jak pan mógł zabrać mu całą indywidualność, zrobić z niego manekin, który potrafi tylko godzić się z tym, co ja powiem, zachwycać wszystkim, co

zrobię? — Niepostrzegalnie głos urastał do krzyku, krzyczała

teraz, czując, jak łzy zaczynają spływać po brzydki

wykrzywionej twarzy: — Nie chcę. Rozumie pan, nie zgodzę

się na to nigdy, nie chcę!

— A przecieŜ pani sama Ŝyczyła sobie tego — uśmiechnął

się złośliwie czy tylko jej się tak wydawało? Głos miał

układny, nieomal ugrzeczniony, jego twarz ułoŜyła się w

wyraz oznaczający zatroskaną Ŝyczliwość. — Czy pani

zapomniała, Ŝe program wzięliśmy z pani mózgu? To pani

sprawiła, Ŝe on jest tym, czym jest: pani echem, odbiciem

pani upodobań, nastrojów... Lustrem, w którym moŜe pani

oglądać siebie samą, tym doskonalszym od kaŜdego innego,

Ŝe widzi pani siebie upiękzoną przez jego zachwyty. Pani

dziełem jest Torrence Mc'Gail...

Oddychała szybko i płytko, całą kabinę wypełniał jej oddech.

Poczuła, Ŝe ręce robią się wilgotne od potu; zacisnęła je w

pięści, oparła o barierkę dzielącą ją od ekranu videofonu.

Powiedziała:

— Czy to... moŜna odwrócić?

Przyglądał się jej uważnie, taksując. Wreszcie powiedział:

— Tak. Wszelkie ograniczenia osobowości włączone do

programu na Ŝyczenie klienta moŜemy bardzo łatwo usunąć.

Tylko Ŝe potem nie da się ich juŜ przywrócić. Milczała.

Gładka barierka ślizgała się pod zaciśniętymi palcami.

— Więc — decyduje się pani? Spokój, odzyskany z trudem, ulotnił się bez śladu. wybuchnęła gwałtownie, z dziką wściekłością, której nie potrafiła opanować:

— Pan jeszcze pyta? Niech pan spróbuje wytrzymać dłużej niż kilka godzin z człowiekiem, który zawsze zgadza się z pana zdaniem, wszystkiemu potakuje, choćby pan mówił bzdury... — Ucichła, to zamilknięcie było tak samo nagłe i niespodziewane jak przedtem wybuch. Powiedziała niepewnie i cicho, z nagle odkrytym strachem: — Czy jego... czy będzie go to bolało?

— Usunięcie ogranicznika? Ach, nie... To tylko naświetlenie, napromieniowanie — zupełnie niebolesne... — Pomilczał chwilę, jego małe i ciemne oczy, osadzone zbyt blisko siebie w szerokiej, brzydkiej twarzy, zaczęły biegać niespokojnie. Nie patrząc na nią powiedział: — Czy to ma znaczyć, że jest pani zupełnie zdecydowana? Proszę się zastanowić: dość trudno sprawić, by świat człowieka, który nie będzie w panią bezkrytycznie wpatrzony, kręcił się wokół pani... — Urwał, a potem dodał z przymusem: — Już raz radziłem coś pani, ale wtedy nie chciała pani słuchać. Niech pani mi uwierzy przynajmniej teraz: viborg, którego dostarczyliśmy, jest niemal doskonały. I wszystkie zmiany, zmierzające do wyzwolenia w nim jego całej ludzkiej natury, są bardzo ryzykowne, prowadzą do nieprzewidzianych rezultatów...

— Zaryzykuję... — powiedziała łagodnie. Nagle przestała dostrzegać twarz na ekranie; choć w dalszym ciągu patrzyła w videofon, widziała teraz czuły, szybko umykający uśmiech i jasne włosy zmierzwiłone na poduszce. — Bo przecieŜ... cała reszta... pozostanie bez zmian?

— Tak, naturalnie. Cofniemy tylko ten jeden ogranicznik. Skinęła głową, posyłając mu najładniejszy swój uśmiech, najczęściej powtarzany w seriach stereogramów. Powoli podniosła rękę i wyłączyła aparat. Nie pamiętała nic ze swojego powrotu; waŜna była tylko ta chwila, gdy naciskała przycisk otwierający jej drzwi.

Dom bez Terry'ego przestał być nagle Domem; stała na ŝrodku pokoju przykładając do policzka rękę, której chłodne i sztywne palce nie mogły się jakoŝ rozgrzać, i po raz pierwszy zaznając strachu o kogoŝ, nie o siebie, gdy za plecami usłyszała otwierające się drzwi. Odwróciła się, w jednej chwili zapominając o tych godzinach — czy moŜe tylko minutach — spędzonych w samotności tak dojmującej jak jeszcze nigdy, o swojej własnej niespokojnej wędrownicy w obrębie czterech ŝcian i nieudanych próbach zajęcia się czymkolwiek, które nie mogły wypełnić jej czasu. Stał w progu, tak jak wczoraj, ale tym razem nie było w nim wczorajszej niepewności. Uśmiechał się.

— Jesteŝ... — powiedziała. I nagle, z niespodziewaną

czułością: — Brakowało mi ciebie...

— Byłem... — urwał, w jego twarzy zobaczyła zmieszanie;

przeciagnał ręką po czole, jakby coś chciał sobie

przypomnieć, czy teś może przeciwnie — wymazać z

pamięci, odsunąć? Dorzucił szybko^niechętnie: — **Och,**

wiesz... musiałem wyjść na chwilę...

— Terry. kochanie, czy nic ci się nie stało? — Była tuś przy

nim. kiedy ją objął, poczuła szorstki dotyk jego rękawa na

rozpalonym policzku; więc nic się nie zmieniło, wszystko

było jak dawniej. ' Patrzył gdzieś nad jej głową, tak intensywnie, że odwróciła się i spojrzała w tym samym

kierunku. Powiedziała zdziwiona:

— To obraz, bardzo stary, z dwudziestego pierwszego

wieku. — W jej głosie brzmiała duma, zadowolenie, jakie

odczuwała zawsze patrząc na ten unikat, zdobyty z takim

trudem, kosztem wielu wyrzeczeń; jedną z niewielu rzeczy,

które standardowemu do obrzydzenia mieszkaniu nadawało

odrobinę indywidualności. — Malowany na płótnie,

prawdziwymi farbami... Ale czemu tak patrzysz? Widziałeś

go już przecieś...

— Okropnie brzydki, Rae.

Poczuła ostre ukłucie, śal, dojmującą przykrość. Starła się

nie pokazać tego po sobie, ale nie potrafiła — to rozśalenie

było takśe w jej głosie:

— Och, Terry, kosztował tyle pieniędzy. I pomyśl: jest tylko

jeden i tylko mój, nikt nigdzie w całym mieście takiego

samego nie ma... Powiedział bardzo łagodnie:

— To jeszcze wcale nie znaczy, że można na niego patrzeć.

To takie clikawe i płaskie... nie widzisz tego, Rae? Musimy go

się pozbyć... — całował lekko, nieuwważnie jej włosy, była tuż

obok, a jakby jej nie widział, zajęty swymi myślami. — I

jeszcze kilka rzeczy trzeba tu będzie zmienić. Zrobimy to

razem, dobrze? Nie gniewaj się, kochanie, ale ty czasem...

masz trochę dziwny gust...

— To moje mieszkanie, prawda? — zaczęła z furją. Ale nie

dokończyła — zaczęła nagle płakać. Dopiero to otrzeźwiło

Terry'ego; pochylił się, zaczął całować jej mokrą od łez twarz

i zaciśnięte ręce, które — na próżno — starały się go

odepchnąć. Powiedział szybko, ze skruchą:

— Malutka, przecież nie chciałem ci zrobić przykrości. Nie

gniewaj się... Przepraszam. Ja chciałem tylko... Och, Rae,

przecież wiesz, że cię kocham.

Jej ręce przestały go odpychać; pozwoliła się objąć, przytulić

i pocieszać. Terry podniósł ją i zaczął nosić po ich malutkim

mieszkanu, tak jak nosi się dziecko. Wtedy pomyślała, że

jeszcze wczoraj nie było między nimi nic, co musiałyby

zapomnieć, nic takiego, za co Terry musiałby ją

przepraszać.

W skwarne południe zrezygnowany tłum przesuwał się

najszerszą. Sto Pięćdziesiątą Aleją; był koniec października.
mimo to endoklimatolodzy zarządzili dwutygodniowe upały;
słońca na wszystkich poziomach buchały. Srebrne, powietrze
drgało z gorąca, a woda, którą automaty zlewały betonowe
chodniki, wysychała natychmiast, pozostawiając na wargach
smak parującej wilgoci, mokrego kurzu, stęchlizny.

— Zupełnie jak ze starej szafy — powiedział drwiąco Terry.

— Wiesz, takiej nie wietrzonej co najmniej od trzech tygodni,
w której zaczyna już rozrastać się pleśń... — Zabawnie

zmarszczył nos, ale jego oczy pozostały obojętne,

znudzone, nie było w nich rozbawienia. — Mam dość tych

upałów. Po co właściwie włączymy się po mieście, zamiast

schować się w domu i włączyć klimatyzator?

— Muszę przecież podpisać tę umowę — przypomniała.

— Ach, prawda — oświadczył natychmiast. — Umowę na twój

wielki występ w stereowizji. — To właśnie było takie

cudowne: wszystkie jej sprawy, nawet zupełnie drobne,

stanowiły dla niego najistotniejszą rzecz. Mógł słuchać

godzinami o jej marzeniach i pracy, dyskutować z nią plany,

zawsze tak samo przejęty, z błyskiem zaciekawienia w

oczach. Będąc z nim miało się wciąż wrażenie, że to jest

najważniejsze, że ona sama też jest niezmiernie ważna. Jak

teraz, kiedy dodał:

— Musi się udać, Rae. Tak bardzo chciałbym, żeby ci się

udało.

Nie odpowiedziała od razu, zajęta myślami o czekającym ją występie, o tej godzinie, w której chciała dać z siebie jak najwięcej, przykuć do siebie uwagę nawet najbardziej znudzonych i zniechęconych mieszkańców myrmipolii, dać im... Sama jeszcze nie rozumiała — co, ale wiedziała, że to przyjdzie, obudzi się w niej na planie, w oślepiających światłach jupiterów. „Coś, co pozwoli ludziom oderwać myśli od codzienności miasta-warstwowca, beznadziejności, osamotnienia i strachu — pomyślała. — Chciałabym, żeby — chociaż przez krótką chwilę — umieli się do siebie uśmiechać”. Wierzyła, że to potrafi, dzięki tej wiedzy poczuła się od Terry'ego w jakiś sposób bogatsza. Mruknęła

nieważnie:

— Ja tak chcę, żeby mi się udało. Nawet nie wiesz, jak bardzo... — I nagle, patrząc z boku w jego przystojną, tak dobrze znaną twarz: — Wiesz, w moim życiu dwie sprawy są zawsze takie ważne. Moja praca i ty.

— Wiem. — I po króciutkiej przerwie, która może nie znaczyła nic, a może bardzo dużo: — Dobrze, że i ja tak...

Nic nie odpowiedziała, nie potrafiła. W milczeniu stali na brzegu chodnika liśnięc bez przyjemności wodniste, syntetyczne lody, kupione przed chwilą w ulicznym automacie, i czekając cierpliwie, aby bariera pola, dzieląca chodnik od jezdni, opadła i pozwoliła im przejść. Tuż obok,

na nędznym skwerku nad mikroskopijną sadzawką, kuliły się osowiale w krótkiej i wypalonej trawie dwa wyleniało perkozy, dawno zrezygnowawszy z poszukiwania cienia; je takŜe otaczała niewidzialna bariera uniemoŜliwiająca wyjście z przeznaczonego im miejsca, tak jak podcięte skrzydła wykluczały poderwanie się w górę. Rae poczuła nagły i bezsensowny Œal: nad perkozami, nad sobą i nad Terryem — łatwy i pusty Œal, który niczego nie zmieniał i znaczył teŜ niewiele. Aleją w obie strony przesuwiał się spocony i rozdraŒniony tłum, nie zwracający uwagi na kolorowe reklamy obiecujące atrakcje i rozrywki, fala zobojętniałych na otoczenie ludzi, beczynnych po odrobieniu swych przydziałowych trzech godzin. O tej porze pracowały juŜ tylko automaty; za witrynami sklepów i w punktach usługowych widziało się ich nienaturalnie oŜywione, uśmiechnięte twarze — właśnie po tym moŜna było odróŜnić ich od ludzi: nigdy nie były znudzone. Spojrzała na Terry'ego, zobaczyła, jak napinają się mięśnie jego szczęk, pomyślała, Œe nie powstrzyma ziewnięcia, ale zdołał to zrobić. Œal znikł bez śladu, powiedziała z nagłą, właściwie niczym nie usprawiedliwioną złośliwością: — JeŜeli to ma być aŜ takie poświęcenie, nie musisz iść ze mną, Terry. MoŜesz przecieŜ wrócić do domu. Popatrzył na nią z boku, jego twarz miała dziwny wyraz, pojawiający się

ostatnio coraz częściej — wyraz, którego tak nie lubiła.

Powiedział:

— Nie lubię być bez ciebie w domu, Rae.

Ta sama niepojęta złośliwość kazała jej powiedzieć:

— Tak, przecieŜ w domu nudzisz się jeszcze bardziej.

— Wiesz dobrze, Œe nigdy nie nudzę się z tobą... —

protestował gorąco.

— Ale kiedy mnie nie ma. Albo jeśli nie mogę być przy tobie i

zajmować się tobą... Wtedy jesteś nieszczęśliwy i wściekły,

chpdziesz z kąta w kąt, jakbyś nie mógł znaleźć dla siebie

miejsca. Nic cię nie interesuje, nic nie masz ochoty robić...

— No... nie... — protestował słabo, bez przekonania, **to** było widać. — Mogę przejrzeć dzienniki...
Włączyć stereowizję...

— I to juŜ wszystko?

Czuła się znów zagubiona — jak tyle razy w ciągu ostatnich

dni. Dlaczego było tak, jak gdyby świat Terry'e'go miał tylko

dwa wymiary: ona i cała **reszta** — która nuŜyła go i

rozdraŜniała co chwila, czemu raz było jej z nim dobrze. a

zaraz potem — źle, dlaczego czasem tak trudno było z nim

wytrzymać? -Zapytała:

— Terry, wytłumacz, co ci właściwie jest? Dlaczego jesteś
taki...

— Jaki? — Był zaskoczony, po jego oczach poznała, Œe do

tej pory nie zdawał sobie z niczego sprawy. — Jaki ja

jestem, Rae? Och, kochanie, jeŜeli... Więc to przeze mnie?

— **Przez** siebie? Co?

- Jesteś ostatnio taka... dziwna. I ciągle rozdrażniona.

Wpadasz z nastroju w nastrój... Myślałem, że to ten występ, że dlatego...

— Nie, to chyba... chyba te idiotyczne upały. — Mówiła szybko, bardzo szybko, jakby chciała coś zagłuszyć — w nim? w sobie? — Jestem po prostu zmęczona nimi, jak každy... Pewnie dlatego czasem mam już dość

wszystkiego. Gorąca. Myrmipolii. I siebie samej także.

Myślałam, że coś się zmieni... Powiedział bardzo cicho:

— To na mnie się zawiodłaś?

— Skądże — kłamała. — To jest dokoła i od nas niezależne:

standaryzacja, nuda, stereowizja i pleśń... Czy nie

przychodzi ci czasami do głowy, Terry, że w gruncie rzeczy miasta-

—warstwowce przypominają po prostu rupieciarnie,

gigantyczne składy wszystkiego, co zostało po lepszych

czasach ludzkości, a my sami — nakręcone zabawki,

których sprężyny działają ciągle jeszcze, choć nie wiadomo

po co?

— Rae, tydzień temu wszystko wyglądało tak samo. Tylko

ty byłaś inna. Powiedz prawdę — dlaczego... Wiesz

przecież, tylko ty jesteś ważna i tylko ty się liczysz. To

wszystko:

myrmipolia i ludzie, upał i automaty, pleśń czy stereowizja.

nie obchodzi mnie wcale...

„Właśnie dlatego” — chciała powiedzieć, ale nie potrafiła. I tak by nie zrozumiał. Stali o krok od siebie, wystarczyło

wyciągnąć rękę, aby go dotknąć, a jednocześnie było tak,

jakby dzieliła ich nieprzenikliwa, gruba, choć przezroczysta

ściana. I czując beznadziejność wszystkiego, co

którekolwiek z nich mogłoby zrobić albo powiedzieć po

swojej stronie owej przegrody, powiedziała:

— Kochanie, to naprawdę tylko zmęczenie i upał. Nie

wiedziała, czy jej uwierzył. Na szczęście nie musiała niczego

dalej wyjaśniać; bariera nagle znikła, zgasły ostrzegawcze

światła, tłum naparł na nich, popchnął, uniósł na drugą

stronę. Terry wyciągnął rękę, przyciągnął ją do

siebie, chronił. Podniosła głowę, jego oczy znów były jasne i

czułe, mogła się już do niego uśmiechnąć. Z poczuciem

wielkiej przewagi patrzyła na inne, mijające ich pary, o

twarzach znudzonych sobą nawzajem, obojętnych,

zmęczonych. Mężczyźni jednakowym, pozbawionym

serdeczności gestem opierali rękę na karkach swoich kobiet,

prowadząc je przez tłum tak, jak można prowadzić małe i

krnąbrne zwierzę, choć one przecież nie opierały się wcale:

na ich twarzach była bezmyślność i rezygnacja. Patrząc na

to pomyślała znowu, że ma coś niezmiernie cennego, że

musi to obronić, chronić przed wszystkim, nawet przed sobą

samą, tak samo konsekwentnie, jak Terry chronił ją. A jednak jeszcze tego samego dnia, zaledwie w kilka godzin później, połączyła się znowu z kantorem „Bio-Vit Company”.

Tym razem nie Œadała — pytała. Zdziwienie i chyba takŒe strach były w jej glosie, kiedy mówiła:

— Nic nie rozumiem. Wszystko jest tak, jak chciałem, jak sobie wymarzyłem... Jest serdeczny i czuły, jak zawsze jestem dla niego najwaŒniejsza... Dlaczego więc nie jestem tak ŒeŒliwa, jak mogłem się spodziewać? Gdzie tkwi bład? Tłusta twarz na ekranie nie była tym razem bezczelna, chłodna i ironiczna. Z półprzymkniętymi oczyma i jakąś senną zadumą męŒczyzna robił wrażenie zamýŒonego boŒka. wiedzącego — moŒe nie wszystko, ale i tak zbyt duŒo. by warto było dzielić się całą tą wiedzą z kaŒdym.

Powiedział:

— JeŒeli zawsze pani jest najwaŒniejsza — czegoŒ moŒe brakować?

— Jego nic nie obchodzi, wszystko go nudzi — co tylko nie jest mną... Nic nie jest w stanie go zainteresować...

— KaŒde zajęcie musi oddalać go od pani, Rae. Oddychała poŒpiesznie, krótko — usłyszała ten oddech. Powiedziała:

— Nie umiem być z człowiekiem, którego nic nie obchodzi. Jest jakby... nieprawdziwy. MęŒczyzna musi mieć w Œyciu jakieś pasje, coŒ, co jest tylko jego...

— Przecież pani tak chciała... — przypomniał. — Miał być inny niż wszyscy: niepodobny ani do tych włóczących się po ulicach po Seraczy tormilu, ani do ludzi, którzy coś usiłują robić, zbyt pochłoniętych przez sprawy, które w pani Sycie mogłyby wnieść niepokój. Tylko pani miała mu być potrzebna, najważniejsza z wszystkiego...

— Już nie chcę. Jeśli to ma wyglądać właśnie tak. Wydało jej się, że tamten śmieje się bezgłośnie i drwiąco. Ale to chyba było tylko złudzenie, bo twarz w ekranie była tak samo daleka, zamysłona.

— Będzie pani brakować tej... świadomości, że jego świat istnieje jedynie dzięki pani — ostrzegał. — Szczególnie teraz, kiedy tyle czasu miała go pani tylko dla siebie i przywykła do tego, że nawet jego myśli stanowią zawsze pani wyłączną własność. Niech pani jeszcze się zastanowi. Jeśli usunę i to ograniczenie jego osobowości, zostanie bardzo niewiele cech, które mogłyby pani zagwarantować... I zmieni się tutaj wiele;

tak dużo rzeczy będzie się trzeba uczyć... Patrzyła chwilę ze zmarszczonymi brwiami. Powiedziała:

— A więc postaram się ich nauczyć.

Małe mieszkanie zawałały notatki i obliczenia; gdziekolwiek Rae nie ruszyła się teraz, napotykała rozrzucone tabele i wykresy, nie znane jej przyrządy, kryształki do czytników.

Zwoje perforowanej taśmy kłębiły się na stole, plątały pod nogami. Podręczny kalkulator pracował niemal bez przerwy, Terry wicherzył włosy, podnosił znad płacht polipieru przekrwione, nieuważne oczy; jeśli była właśnie w polu jego widzenia, uśmiechał się do niej czułym i roztargnionym uśmiechem — miała wrażenie, że nawet w takich chwilach nie w pełni zdaje sobie sprawę z jej obecności. Znikał gdzieś z domu, w videofonie zjawiały się nieznane, czymś zaabsorbowane i tak jak jego — przemęczone twarze; nie rozumiała nic z tego, o czym ci ludzie dyskutowali z Terryem, który poświęcał im znacznie więcej czasu niż jej.

— Czy ty czasami nie przesadzasz, kochanie? —

powiedziała wreszcie któregoś dnia. Stała nad nim, przed sobą miała tył jego głowy i pochylone plecy; patrząc tak z góry zauważyła, że odrosły mu włosy — jasnymi kosmykami zachodziły nieporządnie na kark. Nie odpowiedział, musiała wyciągnąć rękę i dotknąć jego głowy, by wreszcie zauważyć jej obecność. Odłożył pisak, odwrócił się z fotelem, patrzyła teraz w jego zmęczoną i poszarzałą twarz — zauważyła, że w ogolonym niezbyt dokładnie tego ranka jasnym zarostcie niektóre włosy są już zupełnie siwe.

— Przepraszam... Mówiłaś coś do mnie, Rae? Zamknęła dłonie i zacisnęła palce — zdawało się jej, że to ułatwi panowanie nad sobą; coraz częściej ogarniało ją

zniechęcenie, robiła się rozszalona i zła.

— Tak — potaknęła, już z góry wiedząc, że wszystko, co mogłaby powiedzieć, i tak będzie bez znaczenia, a wszelkie argumenty odbijają się od jego łagodnego uporu, nie docierając w pełni do jego świadomości, już z góry czując smak jeszcze jednej przegranej. — Pytałam, czy ty musisz pracować bez wytchnienia, czy ty się musisz tak tą pracą zabijać? Nic innego nie robisz... przynajmniej od miesiąca. Najchętniej nie wstawałbyś od stołu — prawie nie sypiasz, przestałbyś jeść, gdybym ci nie podała... Czy to wszystko, co robisz, jest tak straszliwie ważne?

— Chyba tak, Rae... — powiedział takim tonem, jakby te słowa nie były potwierdzeniem, lecz prośbą — o zrozumienie czy o wyrozumiałość? — Jeśli się uda... Myślę, że to, co robię, może mieć bardzo duże znaczenie. Czuję, że powinna dać spokój, zostawić wszystko jak jest. Mimo to powiedziała: — Rozumiem. Jest ważniejsze od wszystkiego na świecie — w każdym razie dla ciebie. — W jej głosie słyszało się zawziętość. — Dobrze. To już dosyć dokładnie dałeś do zrozumienia. Ale chciałabym zrozumieć jeszcze jedno: czy rzeczywiście nie obchodzę cię tak zupełnie, że trudno ci znaleźć dla mnie bodaj godzinę czasu?

Zobaczyła, że jego oczy stają się bezradne i zagubione — jak zawsze wtedy, kiedy próbowała wygrywać przeciw niemu

swoje rozśalenie, jak wtedy, gdy udało się jej sprawić na chwilę, by poczuł się wobec niej winny.

— Malutka — powiedział bezradnie, przeciągając ręką po jasnych włosach. — **Rae**, kochanie, to przecieś wcale nie jest tak...

— A jak?

Wiedziała, że jest bezwzględna i małostkowa przyciskając go w ten sposób do muru, nie godząc się na Saden

kompromis i zmuszając, by dokonywał wyboru. Ale nie potrafiła inaczej. Ponagliła:

— Więc jak to teraz jest, Terry? **Czy** tak, że odkąd masz tę swoją pracę — ruchem głowy wskazała rozłożone notatki —

ja się już całkiem nie liczę?

Wyraz przykrości na jego twarzy — ruchliwej, nie zdolnej do skrywania jakiegokolwiek uczucia, powiedział jej, że się myli, powiedział znacznie wcześniej, niż Terry mógł znaleźć potrzebne słowa. I patrząc w tę twarz — jasną, wrażliwą i nerwową — poczuła nagły, aś bolesny skurcz serca, uniesienie i czułość, w tej chwili gotowa robić tylko to, co mogłoby dać mu szczęście, zrezygnować natychmiast ze wszystkich swoich praw. A potem, prawie natychmiast, pomyślała z rozśaleniem i buntem: „To przecieś wcale nie miało być tak. To tylko on miał mnie kochać, to dla niego ja miałam być najważniejsza”. Starając się powstrzymać skąpe, dręczące łzy, które i tak nie mogły przynieść jej

Sadnej ulgi, powiedziała:

— Przepraszam. JuŜ mc nie mów, nic nie tłumacz. Nie musisz.

Znowu przeganiał ręką jasne, odrastające włosy — z tym samym co uprzednio wyrazem niepewności i z troskania.

— Nie chcę tak, Rae. Poczekaj... Zbiorę myśli. Ja chcę ci wytłumaczyć, chcę, Ŝebyś zrozumiała... Wstał i dwa razy przeszedł po pokoju, potem zatrzymał się tuŜ przy niej, objął ją i przytulił. Lubiła jego ręce: szczupłe, nerwowe — silne, a jednocześnie tak czasami bezradne jak on sam. Teraz teŜ były takie: niepewne i spłoszone, nawet w momencie, gdy próbowały ją objąć. Zaczął ostroŜnie:

— Nie znosisz tego miasta — prawda? Tych naszych miast...

— poprawił się natychmiast. — One są wbrew naturze, wbrew wszystkiemu, co człowiek... Widzisz, ja takŜe chciałbym, by myrmipolie zniknęły z powierzchni Ziemi...

— Jak to moŜliwe? PrzecieŜ one nas chronią... — powiedziała, zdziwiona. Nie rozumiała, do czego Terry zmierza.

— Tak, teraz... — odpowiedział natychmiast, jak gdyby na to czekał. — Od kiedy człowiek nie moŜe juŜ oddychać ziemskim powietrzem, pić wody z ziemskich jezior i rzek. Od przeszło dwustu lat Ŝyjemy w miastach-warstwowcach,

miastach-schronach, które bronią nas przed tym, co sami
działaliśmy. Wegetujemy, roimy się pod hermetycznymi
betonowymi kloszami — bez przyszłości i bez perspektyw.
Nic nas już — jako gatunku — nie czeka, możemy walczyć
tylko o zachowanie istniejącego status quo. Rae, nasz czas
stał się największym regresem w historii ludzkości. Ale ty
przecież sama to wszystko wiesz.

— To nic. Mów dalej, Terry.

— Trzeba się z tym pogodzić i żyć jak dotąd — nie, znacznie
gorzej niż dotąd, bo to, co jest, będzie pogarszać się z
pokolenia na pokolenie — albo poszukać wyjścia. Bo wyjście
jednak istnieje... Rae, proces zatrucia jest odwracalny. Teraz
wiem to na pewno. Spotkałem ludzi, którzy nie rezygnują,
którzy od kilku lat pracują nad programem oczyszczenia
środowiska planety. Pomyśl: jeśli ten program zdołamy
zrealizować, przyjdzie czas, w którym ludzie zaczną
opuszczać poziomy miast-warstwowców, żeby osiedlić się
pod prawdziwym niebem, zbudować nową cywilizację na
całej powierzchni globu. Oddychać jego powietrzem, nie tym
sztucznie oczyszczanym, które wciągają
do miasta oczyszczacze...

— I chodzić po prawdziwej ziemi, dotykać prawdziwej
trawy... Zobaczyć, jak rozrastają się drzewa, których nie
trzeba wycinać po trzech latach, bo brakuje im miejsca... —

podniosła na niego twarz, rozjaśnioną, szczęśliwą, mówiła

dalej jak dziecko, które samemu sobie opowiada bajki: — I

jak latają ptaki, którym nie trzeba już podcinać skrzydeł...

Jak wschodzi księżyc i jak wygląda świt, czym pachnie

wtedy powietrze. Rozmnożymy zwierzęta zamknięte w

dydaktycznych ogrodach, stworzymy od nowa Ziemię,

będziemy budowali nasz nowy świat...

— Kochanie, to nie będzie takie zwyczajne i proste.

Niektórych zmian nie da się już odwrócić...

— To nic. Ale wyjdziemy kiedyś, wyjdziemy z miast-

warstwowców...

— My tego chyba nie doślijemy, Rae. Oczyszczyć powierzchnię

globu, atmosferę całej planety — na to trzeba pracy więcej

niż jednego pokolenia.

Posmutniała, ale tylko na krótko. Stała bez ruchu.

z policzkiem przyciśniętym do jego twardej piersi, w ciszy,

która zapadła, słyszała, jak pod sklepieniem Seber głucho

i mocno uderza jego serce. Powiedziała:

— Szkoda... Ale to nic: i tak będzie o wiele łatwiej, bo istnieje nadzieja... — milczała chwilę, potem dodała cicho: — Terry,

to właśnie nad tym pracujesz — ty i tamci?

— Tak. Rozumiesz teraz, kochanie...

— Terry, wam przecież potrzeba wielu ludzi. Prawda?

Wszyscy powinni... Terry, może i ja wam się przydam?

Kiedy popatrzył na nią, pomyślała, że łączy ich coś więcej

niŜ dotąd, Œe teraz (dopiero czy nareszcie?) sà sobie
naprawdê bliscy. Szybko, jak coŒ, z czym czekała zbyt
długo, powiedziała mu to, czego jeszcze niedawno
postanowiła nie mówiç mu nigdy — skoro istniał nie po to,
Œeby to słyszeç:

— Kocham cię, Terry, wiesz?

— Tak, chyba wiem. — Westchnàł lekko. Było to
westchnienie spokojne, pozbawione goryczy: — Nie chciałaŒ
tego, prawda? To juŜ jest... poza programem. Szarpnęła się,
wyrwała prawie z przytrzymujących jà ràk — z tej odległoŒci
mogła patrzeç mu w twarz; nie dostrzegła w niej zmian.

Powiedziała bez tchu:

— Więç ty... wiesz wszystko, Terry? Nie odpowiedział, ale
to, w jaki sposób patrzył, juŜ było potwierdzeniem. Poczuela
się zupełnie zbita z tropu, zmieszana. Zapytała, ze
zdenerwowania zacinając się na pierwszej sylabie:

— Ale... ty ciagle kochasz mnie, Terry?

Milczał, a jej zdawało się, Œe milczy bardzo długo, zanim
powiedział spokojnie i łagodnie, tylko z jakimŒ znuŒeniem:

— Wiesz przecieŜ, Œe nie mogę inaczej, Rae. Owo „nie
mogę" zabrzmiało, jakby powiedział: „nie zostawiłaŒ mi
Œadnego wyboru, nie dałaŒ innego wyjŒcia". A jednoczeŒnie
—jakby przyznawał się do jakiejŒ ułomnoŒci, wstydliwego
kalectwa. MoŜe to zresztà tylko jej się tak wydawało, bo

Terry dodał zaraz:

— Więc to, Œe wiem, niczego między nami nie zmienia.

Mimo tych słów poczuła nagły strach — tak niedawne
poczucie bliskości, zrozumienia przepadło gdzieś bez śladu.

Przyjrzała mu się — czujna, napięta: to, Œe on wiedział o niej
wszystko, Œe znał juŒ jej egoizm, stawało się początkiem
zagroŒenia. Terry uŒmiechnął się, jakby dopiero teraz
zrozumiał coŒ, co w pierwszej chwili wymknęło się jego
uwadze; Rae zdawało się, Œe w tym uŒmiechu dostrzega
odrobinę wyŒszości, z jaką się mówi do dziecka, owej
mądrej goryczy, z jaką wyjaśnia mu się czasem rzeczy dla
niego zawile, choć w gruncie rzeczy tak oczywiste i proste.

Powiedział:

— Nie musisz bać się niczego. Naprawdę nic się nie
zmieniło między nami. Nie mogło. Cokolwiek byŒ zrobiła i
jakakolwiek jesteŒ — i tak będę cię kochał. Zawsze. Wtedy
zapraŒnęła, Œeby nie istniał nigdy Œaden program, nic, co
mogłoby determinować jego uczucia, myŒli; chciała słyŒeć
te same słowa wiedząc, Œe nie działa w nim ogranicznik, Œe
on chce, a nie musi ją kochać. Œe z wszystkich innych kobiet Œwiadomie wybrał ją. Ten wieczór,
zaczęty tak dobrze,
okazał się najgorszy, najtrudniejszy z wszystkich chwil, które
do tej pory spędzili ze sobą. Dojmujący Œał za tym, co
mogłoby być, ale się nie zdarzyło, tylko dlatego, Œe ta
moŒliwoŒć od samego początku została — właŒnie przez nią

— zupełnie przekreślona, utrudniał każdą próbę

porozumienia z Terry, choć on był taki sam jak zawsze,

choć istotnie w nim nie zmieniło się nic.

Tym razem nie musiała szukać pretekstów, aby wymknąć

się z domu; wystarczyło poczekać i w czasie jednej ze

zdarzających się teraz tak często nieobecności Terry'ego

włączyć videofon. Wymieniła nazwę "Bio-Vitu" i tusta, szeroka twarz natychmiast wypełniła ekran, jakby czekała na

Rae.

— Chcę, żeby on nie musiał mnie kochać — powiedziała

bez

tchu. — Czy pan rozumie? Nie chcę, żeby działał w nim

przymus...

Patrzył na nią bez zdziwienia, spokojnie, jak gdyby właśnie

na takie słowa czekał, jakby od dawna się ich spodziewał.

— Rozumiem — powiedział wolno. — Chce pani być

kochana dla siebie samej, nie dlatego, że taki jest program.

— Milczał chwilę, jakby zastanawiał się, czy warto mówić

dalej. Wreszcie dorzucił: — Skąd pani wie, czy potrafi to

sprawić, aby panią kochano?

Drwił? Nie, nie wyglądało na to. Powiedziała z determinacją,

która zdumiała ją samą:

— Nie wiem. Ale tego przynajmniej mam prawo się

dowiedzieć: czy potrafię. Chcę, żeby to on mnie wybrał.

żeby mógł mnie nie kochać, a jednak kochał, żeby on sam

zdecydował, czy jestem w jego Śyciu kimś najwaŚniejszym,
tym najbliŚszym człowiekiem. — A jeśli to nie będzie takie
proste?

— Nic mnie to nie obchodzi. śądam, Śeby cofnięto ten
ogranicznik.

— Chciała być pani przede wszystkim szczęśliwa —
przypomniał.

Milczała. Czekał cierpliwie, a kiedy nie doczekał się Śadnej
odpowiedzi, zaczął mówić:

— Rae, lubię panią. MoŚe dlatego, Śe jest pani najbardziej zwariowanym klientem, jaki zdarzył mi
się kiedykolwiek, a

moŚe tylko dlatego, Śe kaŚdy musi mieć kogoś do lubienia,

nawet sprzedawca z „Bio-Vit Company”. Niech pani mnie

posłucha: proszę tego nie robić, nie Śądać jeszcze i tej

zmiany. Ten ogranicznik to juŚ ostatnia rzecz, jaka róŚni go

od człowieka. Jeśli się to usunie, nie będzie pani niczego

pewna, nie będzie pani mogła mu zawsze ufać — sama

wie pani, jak trudno jest zaufać innemu człowiekowi...

Zawsze juŚ będzie się pani czuła zagrożona, zawsze

będzie się pani bać... — urwał i milczał długo, zanim

powiedział zupełnie innym tonem: — Kocha go pani,

prawda? — A gdy nie dała mu Śadnej odpowiedzi: — I nie

chciałaby go stracić... Jego głos umilkł, rozplynał się w

ciszy tego pokoju, w którym tak wiele było śladów

obecności Terry'ego. Powiedziała z wysiłkiem:

— Czy wtedy... on przestanie mnie kochać? To wszystko...

— zrobiła ruch ogarniający pokój i w jakiś sposób takŜe te kilka minionych tygodni. — ...czy to się wcale nie liczy?

— Nie wiem.— Miała wraŜenie, Ŝe westchnął. — Nie potrafię przewidzieć tego, Rae. Ale wiem jedno: nawet gdyby się to nie stało, jego uczucie stanie się zwykłą, ludzką miłością: nie zawsze zdolną wszystko zrozumieć, moŜe — nie dość głęboką i nie dosyć trwałą... Niech pani lepiej zachowa to, co pani ma...

— Nie mogę. — Głos miała szorstki i suchy, mówiła z trudem. — Powiedział pan, Ŝe go kocham. To prawda. I myślę sobie — nie wiem na pewno, ale tak mi się zdaje — Ŝe kochać, to moŜe znaczy: do niczego nie zmuszać, pozwolić komuś być sobą. Nie Ŝądać więcej, niŜ on moŜe czy teŜ chce dać. Wydaje mi się, Ŝe to jedyne, co mogę zrobić dla niego — to dać mu wolność. Właśnie i tę: wolność wyboru...

— Czy to oznacza, Ŝe mimo wszystko...

— Tak.

Jego oczy były znuŜone i chłodne, kiedy powiedział:

— Cóż, to zlecenie „Bio-Vit” wykona takŜe. To w końcu pani sprawa... Ja tylko mogę radzić: niech pani jeszcze pomyśli, zanim będzie za późno.

Straciła całą poprzednią pewność siebie; powiedziała

zupełnie cicho, matowym, bezdźwięcznym głosem:

— Sądzi pan... Œe on moŒe odejść? Œe — odejdzie...? Œe moŒe nawet — juŒ teraz, juŒ od razu — nie zechce do mnie

wrócić?

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem. — Teraz istotnie

westchnął, zamyślenie było w jego głosie: — Myślę, Œe wtedy... nikt tego nie będzie wiedział na pewno. Nawet on i sam.

Podniosła głowę, przez chwilę rozglądała się po swoim małym mieszkaniu — nic jeszcze się nie stało, wciąż jeszcze było Domem. W gardle tkwiła twarda i ostra kulka, czuła bolesny, nieustępliwy ucisk. Powiedziała:

— JuŒ... nie potrafię inaczej. Nie mam innego wyjścia.

Spróbuję. Muszę spróbować...

Kiedy jego twarz znikła z ekranu i Rae pozostała sama, miała wrażenie, Œe samotność zamyka się nad nią — dokładnie, hermetycznie, tak właśnie jak mury mynnipolh.

Siedziała nieruchomo, na pozór całkiem spokojnie. Jej ręce

— splecione na kolanach — leŒały bez ruchu, tylko pod napręŒoną skórą coraz wyraźniej bieleły kostki

zaciskających się palców. Oddychała cicho i lekko, ten

oddech ulatywał w ciszę pozbawionego obecności Terry'ego

mieszkania. Nie miała nic do zrobienia, pozostawało juŒ

tylko jedno: czekać.

Zamknięty krąg

Morze lśniło, nasycone głęboką, błękitną barwą, tak intensywną, że niebo nad nim zdawało się spłowiałe; na linii horyzontu unosiła się mgiełka, zapowiedź rosnącego upału.

Taave podniósł głowę, oparł brodę na rękach; patrzył na białe ruiny starożytnego miasta przypląszone do rdzawobrunatnej ziemi i ciemną zielen otaczających je drzew. Z kępy szorstkiej, wydmowej trawy strzelał wybijały chwast, jego drobne, liliowe kwiatki chwiały się w nieuchwytnym powiewie, pozostawiającym na wargach wilgotno-słony zapach: morza, schnących na piasku muszli i zwiędłych wodorostów.

— O czym tak myślisz, Taave?

Obrócił leniwie głowę, Aais widziała teraz jego twarz w skróceniu: czarne, zrosnięte brwi, prosty nos, uważne oczy

— tak nie godzące się z marzycielskim wygięciem ust.

— Próbowałem wyobrazić sobie, jak wyglądało to wszystko

— ruchem głowy wskazał plażę i ruiny ponad nią — dwa tysiące lat temu, w późnym okresie Penn'th. Białe świątynie schodzące tarasami aż tu, nad samą wodę, kwitnące ogrody, złote posągi dobrych bóstw i procesje kapłanów w czerwonych szatach, idące po Jaspisowych Schodach do stóp czarnego posągu Mer'roesa... śałużę czasem... Nie lubiła tych jego nagłych zamyśleń, miała uczucie, że wtedy

gdzieś odchodzi, Źe się jej wymyka. Teraz teŹ popatrzyła z niechęcią. Spokojny profil Taave odcinał się wyraźnie od tła gładkiego morza, obrysowany blaskiem jak obwiedzione konturem jasnej farby głowy bohaterów, które prawie kaŹdego dnia znajdowali na freskach odsłanianych .pod nawianego na resztki świątyń piasku; zamyślenie zwiększało jeszcze to podobieństwo do malowanych przed wiekami, sennych i zadumanych twarzy. Był łagodny, zwyczajny, jak wszystko dookoła — mimo to nie umiała oprzeć się wraŹeniu, Źe jest w nim coŹ obcego, niepojętego, coŹ, co wyraźnie róŹniło go od innych ludzi, których znała. Jak zwykle w takich chwilach miała ochotę potrząsnąć nim, obudzić. Nie wytrzymała:

— W okresie Penn'th nie rzeźbiono juŹ złotych posągów, Taave. Mieszasz epoki: kult dobrych enith jest o wiele wcześniejszy...

— Then't, XII okres, dynastia Paa. Wiem. — Wyciągnął rękę, zagarnął trochę piasku, patrzył, jak z nie domkniętych palców wycieka jasną i szybką strugą. Niespodziewanie rzucił jej krótkie spojrzenie spod opadających na oczy, jasnopłowych kosmyków — przekornie, jak mały chłopiec przyłapany przez dorosłego na zmyślaniu czy kłamstwie. — Ale mnie nie chodziło o prawdę historyczną, wiesz? To była... taka fantazja.

Znów panowała nad nim, znów miała go dla siebie; poczuła lekką dumę na myśl, że ten przystojny, miły i zdolny chłopak jest jej, wyłącznie jej. **Za** pół roku, kiedy ukończą Sprawdzian Przydatności Społecznej i złożą egzaminy (a nie wątpiła, że oboje je złożą), po przejściu testów Odpowiedzialności i Przystosowania, otrzymają pozwolenie na założenie rodziny i będą mogli mieszkać razem; ich życie ułoży się spokojnie i ostatecznie. Powiedziała z triumfem:

— I to ma być archeolog. Haer'rth twierdzi, że w naszym zawodzie nawet sny powinno się mieszać osadzone dokładnie w realiach danej epoki...

— Ech, Haer'rth... — powiedział nieuwważnie. Wciąż przesypywał piasek, wyglądało, jakby na tej czynności skupił całą uwagę. — Myślę, że nikt i nigdy nie będzie tak dokładny, by sprostać wymaganiom Haer'rtha... Nawet ci starożytni. Bo gdyby znalazł się nagle w jednej z minionych epok, mogłoby się okazać, że oni wcale nie wiedzą, co — zgodnie z jego systematyką — powinni właśnie robić. że wierzą w dobre enith albo budują jeszcze altanki domowym horom, chociaż już nie powinni...

Pozwoliła tej małej strzale odbić się nieszkodliwie i bezsilnie od jej dobrego nastroju, odwróciła głowę nadstawiając policzek chłodnemu podmuchowi nadciągającemu z nad rozległego akwenu. Dwie mewy walczyły z sobą,

wydzierając zajadle strzępki niewielkiej rybki, srebrzyście polśniewającej w słońcu. Sama nie rozumiała, czemu spytała o to, skąd taki pomysł mógł jej przyjść do głowy:

— Ty nie lubisz Haer'rtha, prawda, Taave ?

Patrzył takŜe na mewy; jego usta zesześcił lekki grymas — szyderstwa, obrzydzenia?

— Nie lubię... — powtórzył, nieznacznie przeciągając wyrazy; w jego głosie było to samo, co dostrzegła w twarzy.

— Wiesz dobrze, Œe nigdy nie pozwoliłbym sobie na tak negatywne uczucie do innego człowieka... Po prostu nie zawsze zgadzamy się z sobą. To wszystko.

— Wasze dyskusje czasem przypominają... walkę. Wyraz niesmaku pogłębił się i stęŜał.

— UŜywasz dziwnych słów, Aais. Ludzie nie walczą z sobą, tym przeciwieŒ różnimy się od zwierząt... — I tak, Œe nie wiedziała, czy ma na myśli zmagające się ptaki, czy teŜ jej posądzenia: — To wstrętne...

Skinęła w milczeniu głową — miał rację, gatunek ludzki tylko dlatego mógł się rozwinąć, stworzyć cywilizację, Œe był jedynym, w którym jednostki potrafiły nie walczyć, lecz współpracować z sobą, uŜywając dla wspólnego dobra rozumu, którym zostały obdarzone. O tym istotnie wiedziało kaŜde dziecko. Przykazania Współpracy stanowiły podstawę wychowania kaŜdego. Było jej przykro, Œe bezmyślnymi

słowami zepsuła poprzedni nastrój. Powiedziała, starając się tym zatrzeć swoją niezręczność:

— Pójdiesz popływać, Taave? **Od** tych upałów i ciągłego nadzorowania robotów mam wraŜenie, Ŝe sama składam się z rozpalonych blach i iskrzących przewodów... Pomyśleć, Ŝe kiedyś archeolog mógł się nie spieszyć: siedziało się latami w jednym wykopie dłubiąc łopatką...

— JuŜ widzę cię w tej roli — powiedział bez złośliwości. —

Ty i dłubanie łopatką. Ty i ta drobiazgowość, systematyczność, jakiej takie prowadzenie prac wymagało...

Nie, Aais, znacznie lepiej pasujesz do dzisiejszego pośpiechu, gorączkowego tempa i komputeryzacji. Nawet z tym wiecznym niepokojem: czy zdąŜymy, nim na nasz teren wkroczą inŜynierowie z programem robót, jest ci bardziej do twarzy. — Z nagle rozwartych palców sypnęła się garść

piasku, Taave otrzepał ręce, popatrzył znów na morze; pomyślała z ulgą, Ŝe nieporozumienie zostało zaŜegnane. —

A ja bym wolał raz w Ŝyciu popracować bez świadomości, Ŝe ciągle muszę się spieszyć, wygrywać wyścig z Planem

Rozwoju Ziemi, chociaŜ rozumiem, jakie znaczenie ma dla ludzkości szybka realizacja Planu — i Ŝe tylko w ten sposób uda się nam uniknąć kryzysu energetycznego i

Ŝywnościowego w przyszłości... Podniósł się i stał nad nią wpatrzony w biały łuk plaŜy, jakby tam widział coś ogromnie

ważnego, czego ona nie potrafiła zobaczyć. Dorzucił w zamyśleniu: — I chciałbym jeszcze, zanim na całym globie nie będzie skrawka ziemi nie zagospodarowanego w sposób wykluczający na zawsze dalsze prace, dowiedzieć się, jakiego pochodzenia jest ta ŚuŚłowa warstwa, którą Er'rona i Meritt napotkali pod śladami człowieka jaskiniowego...

— Myślisz o hipotezach, Śe to był wielki kataklizm? Śe te legendy o bogach, którzy zniszczyli ogniem Ziemię,

przechowują ślad jakiejś katastrofy kosmicznej? — Teraz i ona podniosła się, patrzyła na plaŚę i na morze. —

Wierzysz, Śe wywołało ją zderzenie dwóch światów: ziemskiego i Przybyszów?

— Nie wiem... Ślad tamtej katastrofy, czymkolwiek była, nie mógł się chyba przechować w tych legendach. One muszą dotyczyć wypadków znacznie późniejszych. PrzecieŚ dopiero

w kilka wieków po tamtym odnajdujemy najwcześniejsze ślady działalności ludzkiej...

— To jeszcze nie jest dowód — nie ustępowała Aais. —

MoŚe ludzkość istniała, tylko kataklizm wyzwolony Ich tu wtargnięciem na dłuŚszy czas powstrzymał ją w rozwoju, ponownie cofnął do bytowania w jaskiniach? Warstwa ŚuŚłu do dziś jest radioaktywna, wtedy, po katastrofie, znaczna część Ziemi musiała być skaŚona... Ale teraz nie o to mi chodzi. WaŚne jest co innego: czy wierzysz, Śe ślad po Nich,

po Obcych, może będzie odnaleźć w którymś z tych gigantycznych złoŝy zeszkłonego kamienia i skamieniałych popiołów? Zdobyc dowody na to, Ŝe była to istotnie Inwazja czy Odwiedziny Kosmiczne — Ŝe był to Kontakt Ziemi z inną cywilizacją?

— Wierzę, Ŝe to był Kontakt. Er'rona i Meritt w miejscach odległych od centrum zniszczenia natrafili na dziwne przedmioty, których przeznaczenia nie można było określić, ale to jedno stwierdzono niewątpliwie: zostały wykonane ze stopów, jakimi nigdy nie posługiwała się ludzkość., To byli Obcy, Aais, a katastrofie, która zdarzyła się wówczas, naleŝy przypisać to, Ŝe tak mało śladów po sobie zostawili na Ziemi. Może jednak nie wszystko zostało całkowicie zniszczone i może w jakimś miejscu, chociaŝby nawet tutaj...

— Taave! Sądysz...?

— Nie wiem, naprawdę nie wiem. Myślałem tylko, Ŝe może warto by odejść od pierwotnego planu i zbadać te ciemne smugi, zaczynające się pod Doliną Kapłanów i prowadzące na północ... — nagle stracił ochotę do rozmowy, może ze strachu, by znów go nie wyśmiała, może z innych przyczyn.

— Niczego nie oczekuję, niczego się nie spodziewam — byłoby dziwne, gdybym to właśnie ja... Nie zapomniałem, Ŝe teoria Er'rony została przez Akademię odrzucona. To chyba jeszcze jedna z moich fantazji. — Zaczął się nagle spieszyć:

— Ale ty przecież chciałaś popływać, Aais. Woda otwarła się

na ich spotkanie, przyjęła ich łagodnie i miękko. Pływali

długo, to Aais pierwsza, wynurzając się, dostrzegła

zblisającą się ku nim zmaląłą w oddaleniu sylwetkę; człowiek

coś wołał, wymachiwał rękami. Powiedziała:

— No i tyle mieliśmy swobody. Już nas szukają. —

Zgruntowała, zebrała oburącz włosy; srebrzyste, szybkie

krople ściekały po jej ramionach. — Musimy wracać. Taave.

Przebrnęli płytką wodę, rozchlapując ją, ciesząc się ostatnią

już chwilą wypoczynku. Ze śmiechem, który nie rozłączył ich

rąk, padli na piasek; teraz dopiero palce rozplotły się

i oderwały od siebie. Leżeli chwilę, oddychając pośpiesznie, jakby chcieli wydyszeć z siebie resztę zmęczenia porannych godzin

spędzonych na dnie wykopu na dozorowaniu automatów

przesiewających gorący, suchy piasek, jakby tylko w ten sposób

mogli odzyskać siły, by znów podjąć ten trud. Aais podniosła głowę, powiedziała:

— Popatrz, to chyba Kes.

Brnął do nich poprzez plażę — nieomal naga sylwetka obrysowana

słońcem. Zmęczył się widać, nie machał już i nie krzyczał; szedł

pochylony, jego stopy zapadały się w piasek pozostawiając łańcuch głębokich śladów podpływających czarnym cieniem jak wodą. Był

już zupełnie blisko; podniósł rękę, światło prześliznęło się po

gładkiej skórze opalonego ramienia. Chyba się do nich uśmiechał

(Kes uśmiechał się prawie zawsze), ale nie mogli tego widzieć pod słońce.

— No i co, skończyliście? — zawołał do niego Taave. Nie

odpowiedział, nie skinął nawet głową. Przebył te kilka

rozdzielających ich kroków, przystanął, dyszał — kropelki potu

świeciły na jego skórze. Przez chwilę stał tak nad nimi, a potem ukląkł z rękami opartymi na udach, na moment zastygając

nieświadomie w hieratycznej postawie staroŜytnych posąŜków,

których tak wiele znajdowali w grobowcach Doliny Kapłanów; twarz miał napiętą i zdumioną — jakby spotkało go coś, czemu przez całą drogę nie mógł przestać się dziwić, coś, czemu jeszcze i teraz nie potrafi uwierzyć.

— Kes, co się stało? Kes?

Jego oddech uspokajał się z wolna, mógł już mówić.

Wydyszał:

— Taave, miałeś rację. Na stanowiskach C-7 i C-8 roboty natrafiły na warstwę ŜuŜlu i stopionych kamieni taką, jaką Er'rona znalazł

nad oceanem... Kazałem kopać dalej...

— Kes!

— Tym razem... zniszczenie nie jest zupełne. Odnaleźliśmy... ślady rozumnych istot...

Zerwali się oboje, stali nad Kesem wciąż klęczącym na piasku za

bardzo zaskoczeni — to, o czym nie tak dawno nie mieli odwagi

marzyć, spełniało się — zbyt szybko. Trwało chwilę, nim Taave

zebrał myśli.

— Natrafiliście na ślady... cywilizacji kosmicznej? Coś, co z Nich pozostało — Ich statki, urządzenia? Kes patrzył na nich w

milczeniu, przenosząc oczy z jednej twarzy na drugą. Wreszcie

powiedział — wciąż z tym zdumieniem, jak gdyby dziwił się nawet

własnym słowom:

— Cywilizacji — tak. Ale nie Kosmitów. Taave, to byli...

— To byli...??

— Ludzie...

— A więc cywilizacja ludzka na Ziemi powstawała dwa razy? Po

kataklizmie, który zmiotł twórców tej pierwszej, powstaliśmy dopiero my? — Haer'rth zaciskał palce, a sę pobielały mu stawy; oczy miał

płaskie, twarz prawie odpychającą — patrzył na Kesa, Aais i Taave, jakby ich czynił odpowiedzialnymi za dokonane odkrycie, jakby

obarczał ich winą za to, że prawda mogła wyglądać właśnie tak. —

Cykl rozwojowy powtórzony dwukrotnie. Wracający teraz do punktu

wyjścia? Taki... zamknięty krąg? Stali nad brzegiem ogromnego

wykopu, wykonanego przez automaty w ciągu sześciu godzin — w

takich jak ten przypadkach potwierdzała się wyższość

nieromantycznych, nowoczesnych metod, krytykowanych przez

Aais: miesięcy pracy i najmniej kilkuset ludzi byłoby trzeba, aby odsłonić spod piasku, ziemi i zestalonych popiołów tę przestrzeń, którą tak szybko i tak dokładnie odkopały sprzęt z centralnym mózgiem stacji archeologicznej roboty. Taave zebrał tu cały zespół; teraz obserwował ich twarze — wciąż pełne niedowierzania,

zdumione — choć prawdę znali właśnie od sześciu godzin.

Widocznie było to jednak zbyt krótko, by móc się z nią pogodzić.

— I skąd właściwie pewność, że to, co oglądamy — Haer'rth

ruchem głowy wskazał przepaść wykopu — jest ludzkim dziełem

właśnie. Nic przecie jeszcze nie wiemy, nie zeszliśmy tam nawet, a już tworzymy domysły, stawiamy hipotezy. To twoja wina, Taave

— jesteś tu Pierwszym, nie powinieneś pozwalać...

Taave zacisnął zęby. Przez chwilę stał nieruchomo, czując, jak to, czego doznawał nieraz w obecności Haer'rtha — uczucie, którego

w nim być nie powinno i którego się wstydził, rozrasta się w nim powoli, nieubłagane i jakby wbrew jego woli. Zdołał je wreszcie zdusić. Powiedział wyjaśniająco, tonem tak pojednawczym, jakby

chciał Haer'rtha przeprosić za ów moment słabości, o którym

tamten wiedzieć przecieŜ nie mógł:

— Nikt z nas nie twierdzi, Ŝe tak było na pewno. Ale nie sposób

powstrzymać się od domysłów, z których ten jeszcze wygląda

najprawdopodobniej — ktoś inny, jak nie ludzie, mógł zbudować to miasto? Nie sądzisz chyba, Ŝe Przybysze z Kosmosu? Spojrzeli

teraz wszyscy: Taave miał rację — to, na co

patrzyli, choć niepodobne do budowanych przez ludzkość w

jakimkolwiek znanym okresie jej rozwoju, musiało być

miastem właśnie: skupisko wysokich, stłoczonych z sobą, a

jednocześnie stawianych najwyraźniej według planu,

niepojętych budowli, częściowo zamienionych w ruiny.

zniszczonych przez czas i niepojęty kataklizm, który przed

tysiącami lat przewalił się nad nimi grzebiąc je w zwałach

ŜuŜu i popiołu. Stali w milczeniu, nieruchomi, wciąż za

bardzo zdumieni, by zdobyć się na jakieś przemyślane

działanie: sześcioro bardzo młodych, niedoświadczonych

ludzi, dla których to, co się stało, było wciąż jeszcze zbyt

duŜym zaskoczeniem.

— Czy to juŜ pewne, Ŝe te... ruiny są istotnie wcześniejsze

od naszej cywilizacji? — szepnęła wreszcie Aais. Nie

oczekiwała chyba odpowiedzi, bo jej brwi uniosły się nieco w

zdziwieniu, gdy usłyszała Kesa.

— Oczywiście. Automaty, nim odnalazły miasto.

sygnalizowały nam znaleziska z epoki kamienia. MoŜesz je

zobaczyć — takie całkiem zwyczajne toporki, noŜe i Ŝarna...

Umilkli znowu. Zachodzące nad Doliną Kapłanów słońce nasycalo powietrze światłem ciemnym i niemal dotykalmym. w jego skośnych promieniach wirowały leniwie pyłki kurzu. a moŜe tylko drobne, senne owady. Wszyscy patrzyli wyczekujaco na Taave; ich niezdecydowanie przejawilo się w nerwowym i dziecinnym pytaniu Re'noe. specjalistki od staroŜytnych inskrypcji:

— Czy ktoreś z was pomyslało przynajmniej o tym, by zawiadomić Komisję Naukową? PrzecieŜ my nie umiemy... nie wiemy... To miały być zwyczajne, standardowe prace: grobowce, nekropolia, świątynie — nie róŜniące się niczym od innych z okresu Penn'th...

— Nikt tego nie wie, nikt nie potrafi. Na całej powierzchni Ziemi... — przerwał niespodziewanie szorstko Kes. — A Komisję — owszem, starałem się powiadomić. Tylko trudno przewidzieć, kiedy otrzymamy jakiegokolwiek wskazówki.

Teraz jest letnia przerwa...

— Więc co będziemy robić?

— Powinniśmy poczekać. - Haer'rth jak zwykle, wolałby nie podejmować decyzji.

— Stać tu z załoŜonymi rękami? Zgodzisz się na to. Taave?

— Przeciwnie, powinniśmy zaczynać... Mówili wszyscy naraz, a potem nagle umilkli i siali cicho. jak gdyby bali się

odetchnąć albo poruszyć, stali tak. patrząc na przedziwne,
martwe, milczące miasto leżące w tym głębokim, podobnym
do przepaści wykopie, otwierającym
się o kilka kroków od ich nieruchomych stóp. Skośne
promienie słońca oświetlały już tylko jedną stronę
stłoczonych z sobą budowli, głębokie, wąskie wąwozy
między nimi zaczynały nalewać się czarnym,
nieprzenikliwym cieniem: pomiędzy pionowymi, zniszczonymi
przez erozję. a miejscami jakby wykształconymi ścianami
zaczynał tężeć zmierzch. Tanith, antropolog, poruszył się,
mówiąc cicho:

— Jakie brzydkie musiały być te ich miasta... I straszliwie
ponure. Nawet wtedy, gdy oni jeszcze... mieszkali, żyli w
nich. Popatrzcie — budowle tak wysokie, że między ich
ścianami musiało być zawsze mroczno, zawsze leżał cień. I
tak ściśnięte, że cień jednego budynku przesłaniał okna
leżące naprzeciw — bo to chyba były okna, te otwory,
rozmieszczone tak symetrycznie...? — Wahał się chwilę, nim
zdecydował się dodać: — A może oni bali się światła? Może
to jednak wcale nie byli ludzie; ich oczy nie były takie jak
nasze, dlatego woleli mrok? Ludzie przecież w takich
kamiennych pudłach czuliby się uwięzieni, zamknięci...
— No, dosyć tego — zdecydował Taave; spokojnie, bez
nacisku. Był najmniej z nich wzburzony — i właśnie w takich

chwilkach można było zrozumieć, czemu jego, nie Haer'rtha.

znacznie przecieŜ starszego, mianowano kierownikiem ekspedycji. — Trzeba brać się do pracy. Bo Kes ma rację — nikt nie wie, nie potrafi, tak samo jak i my. A jeśli tak. Dlaczego tymi, którzy rozpoczną badania, nie mielibyśmy być my? Nie mamy na co czekać. Trzeba wykonać przynajmniej pierwsze, podstawowe badania, zabezpieczyć to, co tylko się da...

— A jeśli przez naszą nieostroŜność, brak doświadczenia...

— ...popelnimy niemoŜliwy do odwrócenia błąd? Nie popelnimy większego niŜ kaŜdy na naszym miejscu. Mamy przecieŜ roboty.

Jego decyzję wszyscy przyjęli z ulgą; cokolwiek mówili — zrezygnować z badań tajemniczego miasta, oddać komuś innemu moŜność poznania jego dziejów, byłoby ponad ich siły. Re'noe skinęła jasnâ głowâ, jakby w ten sposób chciała wyrazić aprobatę w imieniu całej milczącej grupy, sięgnęła po słuchawki aparatury łączącej stanowisko z centralnym mózgiem stacji. Zielono zaświeciły obie lampki kontrolne. Głosem przytłumionym z emocji zadała trzy stereotypowe pytania:

— Radioaktywność?

— Cztery, koma, jeden — szczeknął natychmiast zgrzytliwym głosem automat.

— ZagroŜenie bakteriologiczne?

— W normie.

— Prawdopodobieństwo obwałów?

— Na otwartej przestrzeni zero, koma, siedem. W

budynkach: czterdzieści osiem do stu.

— Schodzimy — zakomenderował Taave. Zawieszona juŜ

wcześniej przez montaŜowe roboty prowizoryczna winda

zniosła ich wszystkich na samo dno wykopu; stali w

półmroku, przyzwyczajając oczy do zmiany

—nasilenia światła po zbyt gwałtownym przejściu ze

słonecznego blasku w chłodne obszary cienia, jaki zalegał

tutaj, gdzie juŜ nie docierały płowe lśnienia zachodu.

Pionowe ściany obcych, niepojętych budowli piętrzyły się

nad ich głowami, wszystko tu było inne niŜ to, do czego

przywykli w swoim świecie. Nawet wyludnione od wieków

ruiny staroŜytnych miast nie były aŜ tak martwe, nie było w

nich tyle chłodu i takiego milczenia. Tam czasem ptak

przeleciał, w suchej, pustynej trawie przemknęło małe

zwierzę — tu cisza była zupełna, nie poruszało się nic. Tylko

wieczorny wiatr przemiałał szary pył pomieszany z popiołem,

tylko ze szczelin wypalonych budynków z suchym szelestem

osypywał się piasek. Czuli się tak, jakby to miasto ruin

zamykało się wokół nich, zagarniano, na zawsze odcinając

drogi do zwyczajnego Ŝyda, spraw codziennych,

zrozumiałych i prostych. Aais przysunęła się bliżej do Taave,
w nagłym zalęknieniu przywierając do jego ramienia.

— Chodźmy — powiedział. — Przejdziemy tylko kawałek,
dokładne rozpoznanie trzeba jednak odłożyć. Zmrok tu
zapada szybciej niż na otwartej przestrzeni.

— Jutro będziemy mogli zacząć planowe działanie —
dorzucił Kes. — Trzeba ustalić dokładny wiek tego miasta...
Zbadać wnętrza budynków... Wzmocni się stropy tych, w
których automaty znajdą coś ciekawego. Może dowiemy się,
co sprawiło, że ich cywilizacja — a z nią razem to miasto —
uległa tak pełnemu zniszczeniu... Po pierwszych krokach
uzyskali pełną pewność, że miasto zbudowała inteligencja
równa ich własnej; chociaż tak bardzo obce, we wszystkich
niemal szczegółach wykazywało świadomy zamysł i wyraźną
celowość. Głębokie, wąskie kaniony pomiędzy budowlami
przecinały i łączyły się z sobą, tworząc planowy system
arterii komunikacyjnych, a betonowe ściany chroniły
najwyraźniej wnętrza zamieszkiwane przez Sywe, im
podobne istoty. Niektóre z budynków, przecięte aż do ziemi
uderzeniem niepojętej siły, odsłaniały szeregi ciasnych
komórek, poprzedzielanych działowymi ścianami, trochę jak
w pszczelich plastrach — to
wyglądało, jak gdyby każdy z mieszkańców miasta pragnął
odciąć się i odgrodzić od innych — jakby nawet ich

obecności musiał się bać, jakby ona mogła być zagrożeniem. I mimo woli stawiali sobie pytanie — co mogło zrodzić ten lęk? Szli wolno, niepewni i spłoszeni; męczyła monotonia szarych prostopadłościaków, gdziekolwiek spojrzeli, przeważał kamień, był tym tworzywem, które tu najskuteczniej opierało się działaniu czasu — to, co ich otaczało, było już tylko ponurą, kamienną pustynią. Pustka i cisza stawały się niesamowite: słyszeli tylko kroki, własne ' kroki odbite od poczerńniętych murów, zwielokrotnione, napierające echem ze wszystkich stron. Mimo woli zaczynali się skradać, szli już niemal na palcach — narastająca ciemność i to przemykanie się chyłkiem potęgowało budzący się w nich strach.

— Światła — powiedział nie swoim głosem Taave. Dwie strugi blasku, bijące z reflektorów zapalonych natychmiast przez towarzyszące archeologom roboty, uderzyły w otaczający półmrok, rozdarły go, usuwając na boki: przed nimi otwarł się biały korytarz zimnego światła, zmierzch wokół zgęstniał, dwoma czarnymi, nieprzenikniętymi ścianami całkowitej ciemności stając nieruchomo po jego obu stronach.

— Wracajmy, Taave... — poprosiła cicho Re'noe. Jej szept, jak przedtem kroki, wypełnił ciszę, odbijał się od murów. — Przyjdziemy przecie już jutro. Teraz... i tak nic więcej nie

zdołamy zobaczyć. **Za** ciemno...

Miał skinąć głową (bo choć ciekawość popychała go dalej, wiedział, że nie ma prawa: czuł się odpowiedzialny za wszystkich) — gdy nagle światła posuwającego się niespiesznie i uparcie robota wyłoniły jakiś kształt na krawędzi chodnika, jeszcze nie rozpoznany, a już niepokojący — jakby rzucone w pośpiechu suche, powyginane drewnianki, przemieszane ze sobą wokół polśniewającej matowo spomiędzy nich, gładkiej, pośliskiej kuli, której kształt był im przecieś tak bardzo znajomy.

— Człowiek — powiedział Tanith. Leśał twarzą do ziemi, piszczele rąk bezradnym w swej bezcelowości ruchem osłaniały wciśniętą w ramiona kulę czaszki przed zagrożeniem, wobec którego wątki zapora rąk i zaciśniętych palców nie mogła stanowić śadnego zabezpieczenia. Leśał skulony, zwinięty w kłębek jak zwierzę — tak jak był kiedyś upadł, gdy to, co pogrzebało miasto zwałami śuślu i zmiotło z powierzchni Ziemi całą cywilizację, dognało go pod samym murem domu, w którym — być może — szukał jeszcze schronienia, schronienia, jakim ten dom być już nie mógł. Stali jak skamieniali — śadne z nich nie znajdowało siły, by się poruszyć, by nieco głębiej zaczerpnąć tchu.

— Mieszkaniec tego miasta, który zginął z nim razem —

powiedział w końcu ktoś, czyjego głosu nie rozpoznali w nabrzmiewającej echami ciszy, tak był schrypnięty i obcy.

Znów zapadło milczenie, przerywane tylko wysokim, metalicznym buczeniem jednego z dwóch robotów; obracał się powoli i metodycznie wokół swej osi, jego promienie wodzące szerokim, płaskim łukiem przeorywały ciemność, ślizgały się po murach, wpełzały w puste i ślepe otwory, sunęły po zwałach ruin. Znieruchomiały nagle.

— Drugi — rozpoznał Kes.

Ten drugi leżał na plecach; opadła dolna szczęka zdawała się otwierać w bezgłośnym krzyku, od którego nieomal wyskakiwała ze stawów, spomiędzy wyszczerzonych, pociemniałych w ciągu wieków zębów szarą struśką wysypywał się popiół, którego odkopujące roboty nie zdołały całkowicie usunąć z wnętrza czaszki. Cienkie, wygięte kostki skurczonych w chwili agonii palców, których członki, spojone czarnym śluzem, nie rozłączyły się z sobą, przyciskały do piersi coś, co już nie istniało: tylko brunatne smugi świadczyły, że przedmiot ów — może pancerna skrzynka? — był wykonany z metalu. Jego zawartość była za to nie naruszona: grube, wielkości ziaren grochu, połyskliwe kryształy, jakie kiedyś musiała zawierać owa skrzynka, lśniły tęczowym, zimnym i ostrym blaskiem spomiędzy wysklepionych, sterczących łukowato żeber.

— Ten coś chciał uratować, ocalić... — powiedział cicho

Taave. — I dobrze wybrał, kryształy przetrwały wszystko...

— Co one mogły oznaczać w jego świecie? Musiały być bardzo cenne, skoro zabrał je z sobą. — Powoli wracali do równowagi, wstrząs, wywołany widokiem ludzkich szczątków, mijał.

— Przypominają triudurowe kryształy... wyglądem. Mają nawet tę samą wielkość...

— Myślisz, że...?

— Przecież musieli w jakiś sposób utrzymywać, przechowywać swą wiedzę, dzieła sztuki, naukę... Więc dlaczego nie w ten?

— Och, moglibyśmy je może odtworzyć. Wtedy zrozumielibyśmy...

— Wątpię... Nigdy nie będziemy wiedzieć dość dużo, aby móc ich ocenić...

— Powinniśmy chociaż spróbować. Kes wzruszył ramionami

— a może tylko tak im się wydawało w półmroku. Nie poruszył się, czekał — tak jak i wszyscy — patrząc, jak Tanith wchodzi w oślepiający stos skupionych światłał robota, jak staje i pochyla się nad pociemniałym szkieletem. Przez chwilę stał — nieruchomy, spokojny — potem przykucnął; z twarzą w ostrych światłach twardą i wyostrzoną jak maska. Wyciągnął rękę, jego otwarte palce zawahały się jakby, ale to trwało krótko, bo już w tej samej

chwili sięgnął pod nagie kości Šeber. wydobywając garść
lśniących, wielkich kryształów; na jego otwartej dłoni wydały
im się jaśniejsze, a jednocześnie bardziej obce niż
przedtem. Wstał, miał już wracać — kiedy Re'noe,
wpatrzona szeroko otwartymi oczami w połyskliwe kryształy,
spytała — jakby one już zaraz, teraz mogły jej odpowiedzieć:
— Dlaczego...? — Podniosła zaciśniętą w pięść rękę,
przycisnęła do ust, milczała chwilę — potem, cofając ją
gwałtownie, dokończyła: — Dlaczego oni... czy musieli tak
zginąć?

— Nie mogę pojąć, nie potrafię wymyślić sobie, nawet tak,
„na roboczo”, czegoś, co by mi wyjaśniało, w jaki sposób
zginęli, co stało się przyczyną tej straszliwej zagłady... —
Tanith i Taave pochylali się nad pionowym szybem
prowadzącym w głąb ziemi, do wnętrza jednego ze
schronów, których skomplikowany system odkryli pod
miastem; ich przeznaczenie wciąż jeszcze nie było całkiem
jasne. Kończyli dokumentację dziwnego pomieszczenia, był
dzień, w słonecznym świetle, którego odblask dochodził
nawet tu. na dno wykopu, mówiło się swobodniej, wszystko
wyglądało inaczej, nie tak przerażająco jak w nocy. — Czy
możesz wyobrazić sobie kataklizm, który tak doszczętnie
zniszczyłby naszą cywilizację? Przecież ich nauka i technika
dorównywały naszej, w niektórych dziedzinach przewyższały

je nawet...

— Nie, tego nie potrafię... — przyznał Tanith. — Wydaje mi się zresztą, że wszystko, co moglibyśmy powiedzieć o tym w tej chwili, i tak będzie przedwcześnie. — Oglądał z zacięciem wielką kamienną płytę, wspartą skośnie o betonowy wąż schronu, być może oderwaną od ściany nieistniejącego budynku; widać było, że to w tej chwili zajmuje go zupełnie. — Więc zamiast myśleć o tym, zobacz lepiej tę płytę. Re'noe twierdzi, że to są jakieś inskrypcje. Ma nadzieję, że zdoła je odczytać... Chyba warto byłoby ją sfotografować...

Zatarte rzędkie na wpół czytelnych znaków na kamiennej powierzchni mogły być rzeczywiście napisem; Re'noe zbierała je cierpliwie — wierzyła w analizator: jeśli mógł rozszyfrować dawno wymarłe dialekty, istniała szansa, że zdoła wreszcie poradzić sobie także i z tym językiem. Tanith wezwał automat, przez chwilę sprawdzał zespół fotozapisu — automat był już stary, blendy zacinały się czasem, rzadko, ale to się zdarzało. Cieniutka warstwa pyłu przysnuła nieco i tak niewyraźne znaki — pochylił się, żeby zdmuchnąć ten nalot; lekki i drobny kurz zawirował w złocistej smudze słońca, odsłaniając zawity ornament splecionych z sobą linii. I wtedy zobaczyli cień przesłaniający rzędkie zatartych znaków.

— Przesuń się, Taave — powiedział. — Nie mogę zrobić zdjęcia. Zastaniasz światło.

Taave usłuchał, ale cień nie poruszył się i nie zniknął.

Patrzyli na to zdziwieni, teraz dopiero dostrzegając, że nie

mógł to być cień Śadnego z nich: wąska i mała głowa,

łagodny, zadumany profil dziewczynki, prawie dziecka,

nachylony nad jakimś niewidocznym przedmiotem, ukrytym

w stuleniu drobnych i szczupłych dłoni. Odruchowo Taave

obejrzał się za siebie w poszukiwaniu rzucającej ten cień.

Ale w zasięgu wzroku nie było nikogo — być tu zresztą nie

mogło, pracowali przecieŜ tylko we dwóch. Przykląkł, a

Tanith przysiadł obok na piętach; w skupieniu wpatrywali się

w kamień.

— Jak myślisz, co to takiego?

— Nie wiem. Zupełnie nie wiem. To nie wygląda na

malowidło, grafitti ani fresk. Na Śadną zresztą twórczość.

Zobacz: jest tak, jak gdyby na tę ścianę naprawdę padał

cień. Kojarzy mi się to... Ale to bezsensowne. Nie, całkiem

niemoŜliwe... To nie moŜe być to. Oczy Tanitha wpatrywały

się w niego — uwaŜne i skupione. Jak gdyby coś rozwaŜał

— jakby on takŜe się nad czymś namyślał.

— Z czym ci się skojarzyło?

— Mówię przecieŜ, że bzdura.

— Mimo to powiedz. Tu wszystko jest tak dziwne, tak

niepojęte, kłóćące się z naszym rozumieniem świata...

Najbardziej fantastyczne, na pozór niemożliwe do przyjęcia skojarzenia w tej sytuacji mogą okazać się prawdziwe...

— MoŜe, ale nie to.

— JeŜeli mamy rozumieć, nie możemy unikać śadnych, nawet najbardziej karkołomnych hipotez...

— Więc dobrze, powiem. Sam się przekonasz, Őe ta koncepcja jest całkiem nie do przyjęcia: taki cień, cień po człowieku, którego juŜ nie było... widziałem kiedyś w miejscu, w którym przed dwustu laty wybuchł z niezrozumiałych przyczyn reaktor atomowy... Milczeli chwilę; Tanith wyprostował się nagle,, przetarł spocone czoło, pozostawiając na nim szarą smugę popiołu. Nieomal w jednej chwili jego oczy stały się zapadnięte, przekrwione — nienaturalnie błyszczące w pokrytej kurzem twarzy. Patrzył na Taave milcząc, skupionym wzrokiem, pod którym tamten zmieszał się i zająknął. W ciszy nabrzmiałej brzęczeniem rozleniwionych upałem owadów rozległ się jego napięty głos — i było w nim to samo, co w spojrzeniu, które zmusiło do zamilknięcia.

— Myślisz, Őe oni... cała cywilizacja... mogła zginąć tak właśnie — od jądrowego wybuchu? To przecieŜ niemożliwe.

Tak gigantyczny wybuch musiałby zniszczyć całą planetę...

— MoŜe to nie był —jeden... Kilkanaście czy kilkadziesiąt

wybuchów — w różnych rejonach Ziemi... Ich twarze były naprzeciw siebie, oddalone przestrzenią nie większą niż długość męskiej dłoni. Dlatego zobaczył bardzo wyraźnie, jak tamten blednie, a jego skórę pokrywa pot.

— To niemożliwe. To niemożliwe, Taave.

— Dlaczego? Aż do tej pory radioaktywność tu, na terenie miasta, jest nieco większa niż na powierzchni Ziemi, a przecież upłynęło kilka tysięcy lat. W tych miejscach, które odkryli Er'rona i Meritt, promieniowanie też przekraczało normę... — teraz on wytarł twarz z potu; byli zmęczeni, brudni, pył i popiół wślizgał się w spoconą skórę. Znowu patrzyli na siebie i znowu była cisza — ogromna cisza martwego, skamieniałego miasta, w której słyszeli tylko własne oddechy. Szept Tanitha wydał im się zbyt głośny — jak gdyby to był krzyk,

— Takie zniszczenie — nie poruszył się, nie drgnął, a przecież Taave odniósł wrażenie, jakby wskazywał miasto.

— Takie zniszczenie, Taave, nie mogłoby być następstwem przypadkowej awarii jakiegoś urządzenia. To by znaczyło, że ich technika i możliwości, które im ona stwarzała, jak gdyby ich... przerosły, że własne poczynania wymknęły im się z rąk, stracili nad nimi kontrolę, nawet — władzę?

— Przecież mogło tak być. Nieharmonijny rozwój nauki i techniki, jedne gałęzie rozwijające się nazbyt szybko,

lawinowy postęp, którego nie potrafili już zahamować... Czy nie sądzisz, że mogli — przez przypadek na przykład — wyzwolić siły, z których działania niezbyt jasno zdawali sobie sprawę? Schylili głowy, zbyt przytłoczeni tym, co już od kilku dni

nawiedzało ich myśli. Tanith nie odpowiedział; dopiero po długiej chwili mógł się zdobyć na protest:

— Nie, Taave... Przecież to byli ludzie. Tacy jak my.

Inteligentni, posługujący się rozumem. A Saden myślący człowiek, Saden rozumna istota nie dopuściłaby do tego... — tego... — urwał, po raz drugi wskazując otaczające ich martwe, milczące miasto; ruch był wymowniejszy jeszcze niż słowa.

— To niemożliwe, Taave. Nie wolno nam zapominać, że oni — też byli ludźmi...

Taave nie odpowiadał; odwrócił oczy, w jego twarzy pojawił się wyraz przymusu. Powiedział cicho, niechętnie:

— A więc jak wytłumaczysz, że oni ten kataklizm... przewidywali, a jednak nie potrafili mu zapobiec? Wiedzieli, że ma nadejść, i liczyli się z nim...

— Na jakiej podstawie sądzisz...

— Spójrz na te schrony. Właściwie niezniszczalne, nie przepuszczające Sadenego promieniowania. Tylko one dawały szansę ocalenia — przynajmniej dla niektórych... Po

to je budowali. A więc wiedzieli i mieli dosyć czasu: budowa takich schronów musiała trwać całe lata...

— To jeszcze nie oznacza, że oni sami spowodowali kataklizm, który ich zniszczył... To mogło nadejść z zewnątrz, a oni tylko — dzięki swojej nauce — umieli go przewidzieć. Dlatego zbudowali te schrony...

Patrzyli na siebie pociemniałymi oczyma; upał narastał, zdawało im się, że ciężar gorącego powietrza przygniata ich do ziemi. Pył drapał w gardle, Taave zakaszłał, powiedział nieco chrapliwie:

— Sam w to nie wierzysz. Bo coś innego — poza świadomą działalnością rozumnych istot — mogło wywołać w różnych miejscach planety nie kontrolowane wybuchy termojądrowe? Nawet katastrofa kosmiczna, w którą wierzyli kiedyś Er'rona i Meritt, nie tłumaczy niczego: nie mogła spowodować zagłady cywilizacji... A w każdym razie — nie mogła w taki sposób...

Milczeli długo, tylko wiatr przesypywał drobiny piasku i świszczwał w wyszczerbionych murach. Wreszcie Tanith odzyskał głos; powiedział bardzo cicho:

— Jeśli to prawda... to oni, dorównując nam intelektem... musieli mieć zupełnie inną psychikę. Było w niej coś, czego nie potrafimy zrozumieć... I właśnie to... Urwał i dysząc ciężko, jak gdyby się z czymś zmagał; ten oddech słyszeli

obaj w ciszy martwego miasta, w gorącym, nieruchomym

powietrzu. Twarz zwarła mu się, zamknęła

i stwardniała, był bardzo blady. A potem przemógł się i

zaczął mówić dalej:

— JeŜeli mogli doprowadzić swój świat do takiego

zniszczenia... musieli być tak od nas róŜni, jakby istotnie byli przybyszami z kosmosu... Nie zrozumiemy ich nigdy...

— pochylił nagle głowę, dorzucił szybko, jakby się bał, Ŝe nie

zdąŜy: — Taave, czy jesteś pewien... zupełnie przekonany,

Ŝe nie moŜesz się mylić?

— Tak jak ty jesteś pewien, Ŝe to musieli być ludzie. Tacy

jak my.

W głębokiej ciszy, jaka zapadła po tych słowach, słyszeli

znowu senne głosy owadów i sypki szelest piasku

osypującego się z ruin. Tanith odwrócił oczy, powoli podniósł

głowę; wyglądało, jakby od nowa oglądał miasto, nie

pomijając niczego: kamiennych domów, wąskich i ciemnych

ulic, zmiaŝdŜonych przez czas i tamte niepojęte wypadki,

które po wiekach starali się odtworzyć — ruin dawnego

Ŝycia. Oczy biegały mu niespokojnie, udręczone, zdumione,

jakby szukały odpowiedzi, która nie nadchodziła — moŜe

dlatego, Ŝe jej po prostu nie było. A potem podniósł ręce do

twarży i skrywając je w dłoniach powiedział prawie z jękiem:

— Tak, tego jestem pewien — gdy widzę ich szkielety, gdy

dotykam ich czaszek; wiem, Ŝe to byli ludzie... Ale jeśli

istotnie tylko to potrafili pozostawić po sobie... takie

zniszczenie... To już nic nie wiem, niczego nie rozumiem...

— Chcecie, żebyśmy uwierzył, że ludzie — tacy jak my,

obdarzeni rozumem — mogli oszaleć na tyle, żeby własną

naukę i własną wiedzę skierować przeciw sobie? — Haer'rth

mówił cicho, głos łamał mu się, a sposób, w jaki wypowiadał

słowa, nadawał im ton prośby, niemal błagania. — Ale to

nielogiczne. To przeczy zdrowemu rozsądkowi... Musiałbym

także uwierzyć, że intelekt nie brom ludzi przed niczym, że

każdy człowiek nosi w sobie to coś, co w każdej chwili może

przerodzić się w taki obłąd...

— Nie znamy wszystkich przyczyn...

— Nie może być śadnych przyczyn, które można zrozumieć.

Jeśli istotnie...

— Zapominasz, że nasz sposób myślenia nie jest miarą

wszechrzeczy. Oni mogli być inni, mogli na wiele spraw

patrzeć całkiem inaczej...

— Uparłeś się, żeby bronić ich, Taave. Wbrew rozsądkowi.

— Nie. Tylko — nie chcę osądzać. Chcę wiedzieć, jacy byli,

co mogło sprawić, że popełnili nieodwracalny błąd...

— Powiem ci — chcesz? Skoro umieli to tylko: zniszczyć

swój świat, skoro nie mieli dosyć rozsądku, by pohamować

to, co pchało ich ku samozagładzie... to te... antropoidy

wcale ludźmi nie były. Między nami nie ma i być nie może

Sadnych podobieństw, nie mamy nic wspólnego, nic...

Siedzieli wokół stołu w centralnej sali bazy, gdzie Taave zebrał przed chwilą cały zespół. Milczeli teraz. Długo.

Wreszcie odezwał się Tanith:

— Mówisz bez sensu, Haer'rth. Antropoidy. Oni zginęli pięć

— sześć tysięcy lat temu. To czas zbyt krótki' na ewolucję gatunku. Musisz zrozumieć: to takŜe byli ludzie. Tacy sami jak my.

— Skąd moŜesz mieć tę pewność?

— JuŜ powiedziałem. **Za** mało czasu, Haer'rth. Poza tym przecieŜ badałem ich szkielety. Dlatego mogę twierdzić: nie róŜnili się od nas, przynajmniej jeśli chodzi o budowę fizyczną. Identyczna budowa kośćca, czaszka mogąca pomieścić tej samej objętości mózg. Identycznie ukształtowane kończyny, ręka, w której wykształcił się przeciwstawny pozostałym palcom kciuk. Jedyne dostrzegalne róŜnice są nieistotne, niewarte nawet uwagi: o cztery zęby trzonowe więcej niŜ ma ich kaŜdy z nas.

Nieznacznie dłuŜsze palce — serdeczny i środkowy. Jeden, zupełnie zresztą zbędny, krzyŜowy kręg w kręgosłupie, którego my nie mamy. W sumie: budowa taka sama, jaką miał człowiek epoki kamienia...

— Właśnie. Człowiek na znacznie niŜszym stopniu rozwoju.

Sam sobie przeczysz, Tanith.

— Nie. Wiem — tak byłoby łatwiej. Prymitywni.

Przedhistoryczni. Ale tak to się nie da. Wszyscy wiemy, że ich cywilizacja dorównywała naszej. Przynajmniej poziomem techniki. Po wszystkim, co widzieliśmy — nie możesz mieć wątpliwości... A więc ci prymitywni, przedhistoryczni — stworzyli to, co i my? Tak nic nie wskórasz, Haer'rth.

— Masz inną hipotezę?

— Tak. Załóżmy, że po tej zagładzie, po kataklizmie, który zniszczył ich świat, zmieniając miasto w pokłady

skamieniałego śluzu... że nie wszyscy zginęli. Przyjmijmy, że jakaś część przetrwała — przetrwała wszystko, nawet

straszliwy okres skażenia radioaktywnego prawie całej

planety. Kilkuset, kilkudziesięciu czy nawet kilka tysięcy

rozsianych po całej Ziemi, nie mogących nawet nawiązać z

sobą kontaktu. że było ich zbyt mało, by mogli tę cywilizację odrodzić. Pozbawieni wszystkiego, co dostarczała im

rozwinięta technika ich świata, musieli

zginąć albo nauczyć się radzić sobie całkiem prymitywnie.

Więc jedni wyginęli, inni przetrwali chroniąc się po

jaskiniach, prymitywnymi, nieporadnymi metodami '

wyrabiając najniezbędniejsze narzędzia, broń, podstawowy

do zachowania swojego życia sprzęt. Przeszli, posługując

się najpierw kamiennymi grotami, potem nożami z brązu,

które od nowa uczyli się wytapiać...

Urwał i chwilę trwała cisza. Nagle, zupełnie cicho, trochę

nieśmiało, jakby przerażona własnymi słowami odezwała się

z końca stołu Re'noe:

— Myślisz, że oni... ci ocaleni, są naszymi przodkami? że z nich wyrosła nasza cywilizacja, a w konsekwencji

wypadałoby stwierdzić, że oni... to właściwie my?

— Tak.

— Nie masz śadnego prawa aś tak pochopnie!... — rzucił się

Haer'rth. — Nawet gdyby tak było, powinniśmy zapomnieć,

że między nami a nimi istnieje jakiś związek...

— Wbrew oczywistości, Haer'rth?

— Tak. Powinniśmy zapomnieć o wszystkim, co

zrozumieliśmy tutaj. Między nami a nimi nie może być nic

wspólnego. Zniszczyli samych siebie. Swoją cywilizację.

Tego nie mógłby zrobić śaden współczesny człowiek. Nasz

intelekt wytycza drogi rozwoju, nie samozagłady... Milczeli —

ten argument trafiał do przekonania wszystkim. Intelpekt

oznaczał rozwój — tak było od początku znanej im

wszystkim historii homo sapiens; w wykopaliskach z

najstarszych epok znajdowano inskrypcje zawierające

Przykazania Rozwoju i Współpracy, te same, które do dziś

stanowiły podstawę funkcjonowania Społeczeństwa. W

milczenie wtargnął znużony głos antropologa:

— Ich psychika, ukształtowana odmienną drogą

społecznego rozwoju, mogła być inna od naszej. Cechy,

których nie pojmujemy, mogły ich popchnąć aś do

samożagłady. Ale to nie oznacza, że byli inni niż my.

— Jeśli nawet... Powinniśmy unikać myślenia o nich.

Przerwać badania...

— Nie rozumiem — dlaczego?

— Nasza droga rozwoju — jak powiedziałeś — była inna;

w jej wyniku stworzyliśmy społeczeństwo rozumne,
szczęśliwe, w którym ich... obłąd nie może się powtórzyć.

Dlatego powinniśmy... odciąć się od wszystkiego, co
mogło... być w nich.

— A jeśli — jest tak i w nas samych? Nieświadomiane —

a przecież jednak — jest? Jeśli trzeba tylko sprzyjających

okoliczności, żeby doszło do głosu... Czy nie sądzisz, że

raczej powinniśmy postarać się zrozumieć, co to być mogło?

Chociażby tylko po to, by w jakiejś chwili nie powtórzyć ich

błędów? Nie skończyć — tak jak oni? Haer'rth odepchnął się

rękami od stołu. Wstał. Przez chwilę patrzył na nich z góry,

usta drgały mu lekko, wykrzywiały się krótkim skurczem,

grymasem, nad którym panować nie mógł. Trwało chwilę,

nim sobie z tym poradził. Wtedy usiadł — bardzo powoli i

jakby z pewnym trudem. Starając się panować nad głosem

powiedział, zwracając twarz ku Taave:

— Jesteś tu Pierwszym. I masz prawo zabronić. Zabronić

wszystkim snucia takich domysłów. Twierdzenie, że

cokolwiek może łączyć nas z nimi, że jest w nas jakieś

choćby najbardziej odległe podobieństwo...

— A jeśli — jeśli Tanith ma rację?

— Nie ma i mieć nie może. Wiesz o tym dobrze. I wiesz tak samo, co powinieneś zrobić: zaprzestać dalszych badań.

Wysłać do Rady sprawozdanie, zawierające wniosek, aby tę sprawę objęto tajemnicą. Nikt nie powinien wiedzieć...

— Sądzisz, że przemilczenie może być wyjściem, Haer'rth?

— W tej sytuacji — tak. Stało się dosyć złego, już przez to samo, że zaczęliśmy wątpić w potęgę intelektu i oczywistość drogi, jaką w swoim rozwoju musi iść homo sapiens. W imieniu Społeczeństwa Sądam, że byś nakazał milczeć.

Wszystkim. I przerwał wszystkie prace.

— A jeśli nie usłucham?

— Nie podnoś głosu.

— Ty także.

— Ja mogę. Nie jestem twoim zwierzchnikiem, a więc to nie jest nadużywanie władzy. Tobie nie wolno, właśnie dlatego, że mianowano cię Pierwszym.

Taave znów poczuł, jak owe dziwne uczucie, które Haer'rth wyzwał w nim niejednokrotnie, utrudnia mu odpowiedź. Ale to trwało krótko. Przełknął z wysiłkiem ślinę, opanował się — mógł znowu mówić.

— Wybacz. A co do tamtej sprawy — nie przerwę prac, nie będę nic nakazywał i niczego zabraniał. Może i łatwiej

byłoby powiedzieć sobie, Œe my i oni... Œe nie łączy nas nic.

Ale ja chcę znać prawdę. Wszyscy chcemy znać prawdę...

— Po co?

— Œeby zrozumieć. Chcemy zrozumieć, Haer'rth.

— ZłoŒę zaŒalenie do Rady.

— JeŒeli sãdzisz, Œe to będzie właŒciwe... ZłoŒ. Cisza, która

tym razem zapadła, była dłuŒsza niŒ poprzednie; siedzieli

milczãc, unikali swych oczu. Taave

słyszał własny nieznacznie przyspieszony oddech, ulatujãcy

w ciepłe powietrze sali — cieñ niechęci, opanowywanego z

najwyŒszym trudem gniewu narastał, stawał się coraz

mocniejszy, coraz bardziej wyraźny. Starajãc się nic nie

pokazać po sobie powiedział prawie spokojnie:

— MyŒlę, Œe dzisiejsze spotkanie moglibyŒmy uwaŒãc za

zakoñczone.

— Chwileczkę. — Re'noe mówiła szybko, skwapliwie, jak

gdyby chciała zatrzeć tymi słowami przykry nastrój. —

Chciałam was zawiadomić, Œe próbowałam wydobyć coŒ z

kryształów. Tych, które Tanith i Taave... Teraz juŒ wiem:

zapisywano Œe na nich dźwięk. Muzykę, słowa... Melorecytację

czy Œpiew, głosy mówiących ludzi... Sãdżę, Œe analizator

zdoła rozszyfrować ich język. A jeŒli to się uda, moŒe

zdołamy odnaleźć informacje, które nam coŒ wyjaŒniã,

naprowadzã na jakiŒ Œlad. MoŒe pojmiemy, w jaki sposób

zginęli, będziemy mogli zrozumieć, co i dlaczego popchnęło ich na drogę, z której już nie umieli zawrócić i która doprowadziła ich tak daleko... Ale na to potrzeba czasu...

— Czasu!

— To musi potrwać trochę. Zrobiłeś się niecierpliwy, Taave.

Nigdy taki nie byłeś.

— To prawda. Powinienem lepiej panować nad sobą. Ale...

Re'noe, powiedziałaś, że w tych kryształach jest jeszcze ich muzyka. Czy ona...?

— Myślisz: czy czegoś nie wyjaśnia? Sama nie wiem... Ona jest inna, inna od wszystkiego, co słyszeliśmy kiedykolwiek...

Jest w niej jak gdyby... Nie, chyba nie potrafię. Będzie najlepiej, jeśli posłuchacie jednego z tych kryształów. Przez chwilę manipulowała przy aparacie fonicznym, a potem to uderzyło w nich nagle, zbyt nagle: obca, niemożliwa do zrozumienia muzyka, oparta na zupełnie innej wielokrotności dźwięku. Było w niej coś wstrząsającego, co rosło, potęgniało — jak przypływ morza coraz gwałtowniej wdzierający się w brzeg; nadchodziło i cofało się znowu, ogromniejąc do ogłuszającego zgiełku, poprzez który powracał wciąż ten sam motyw — triumfalnie, uparcie i nagłaco, by władczo zapanować nad wszystkim. Taave, słuchając, pomyślał, że jest w tym jakaś niepojęta potęga: nawracający motyw jest jak natura, jak los — że jest w nim

cała wielkość i małość człowieka, jego odwaga, rozpacz,
miłość, nienawiść i strach. I w porównaniu z ludźmi, którzy
umieli tworzyć tę pełną sprzeczności, tak gwałtowną
muzykę, on sam i jemu współcześni wydali się jakby o coś
ubożsi i czegoś pozbawieni. W głowie miał zamęt; uczucia,
myśli na

wpół uświadomione, zepchnięte w podświadomość —
których i teraz nawet nie potrafiłby nazwać ani rozpoznać —
dochodziły do głosu, budząc niepokój. Odkrywał w sobie
sprzeczności, których się bał i których nie rozumiał. Gdy tak
słuchał — zafascynowany, zdumiony, Aais gwałtownie
podniosła obie ręce, objęła nimi głowę — nie słyszeli jej
głosu, mogli tylko odgadywać słowa z poruszania się ust:
— Jeśli to wszystko... naprawdę było w nich, to oni... oni...
Oni musieli zginąć.

Nikt jej nie odpowiedział; gdy muzyka ucichła, siedzieli
chwilę bez ruchu, wreszcie, w milczeniu, zaczęli jedno po
drugim opuszczać salę. Taave pozostał sam. Długo siedział
zupełnie nieruchomo, z głową wspartą na rękach, jak gdyby
nasłuchiwał dawno przebrzmiałego dźwięku, próbując
jeszcze rozeznaczyć się we wszystkich niespodzianych
uczuciach, które odkrywał w sobie tak gwałtownie i nagle.
Potem — wciąż jeszcze niczego nie rozumiejąc — wstał,
przez kilka minut patrzył na tkwiący w uchwytach kryształ.

Wyciągnął rękę i szybko, prawie ukradkiem — choć nikt nie mógł tego widzieć — wyłuskał go z aparatu. Odwrócił się i wciąż trzymając kryształ w dłoni — spoconej, kurczowo zaciśniętej

— wyszedł pośpiesznie.

— Tanith, Kes, Taave... — niecierpliwy głos Aais rozlegał się ze wszystkich zainstalowanych w wykopie głośników, dźwięczało w nim napięcie. — W kwaterze B3/II znaleźliśmy coś bardzo dziwnego... Schron, niby taki jak inne, ale wygląda jak... jak galeria sztuki. Czekamy na was, Re'noe i Haer'rth już są. Pospieszcie się, chcielibyśmy tam wejść. To było coś nowego, dotychczas — jeśli nie liczyć kryształów — nie spotkali żadnych śladów twórczości mieszkańców tego miasta. Aais zupełnie zbędnie namawiała ich do pośpiechu; biegli prawie, nie zważając na upał. Prócz ciekawości czuli nikłą nadzieję, że to pozwoli im posunąć się naprzód, że cokolwiek wyjaśni. Gdy — prowadzeni zielonym, pulsującym okiem naręcznego radiolokatora — dobiegli do oczekującej ich grupy, chwyтали z trudem oddech, koszule lepiły im się do pleców.

— Gdzie ta... galeria? — wydyszał Tanith wpadając prawie na Aais i łapiąc gwałtownie oddech. — I skąd możecie wiedzieć, czy to są dzieła sztuki? Ich twórczość przecież mogła być całkiem inna od naszej...

— Zobacz — powiedziała, spokojnie, odsuwając się, Aais

(ten spokój był wymuszony, widziało się wyraźnie). — A inna jest, rzeczywiście...

Przez wyważone przed wiekami drzwi w głąb ciemnego, wąskiego jak korytarz w kopalni schronu jaskrawą strugą wlewało się słoneczne światło. Rozjaśniało tylko najbliższy fragment tej betonowej sztolni, ale to wystarczało: jego promienie załamując się w dziwnych, przejrzystych prostopadłościanach, wyławiały z ich wnętrza zamknięte tam hermetycznie, prostokątne tablice pokryte wielobarwną farbą:

kolory najwyraźniej układały się w linie i wzory, tworzyły nieczytelne z tej odległości, ale bez wątpienia obrazy.

— Tak, macie rację. To chyba ich galeria. A te tablice... zgromadzone tutaj okazy sztuki...

— Wchodzimy? — spytał rzeczowo Kes.

— Strop? — przyhamował ich Taave.

— Bądź spokojny, wytrzyma. Nie czekaliśmy beczynnje na twoje... dyrektywy. Nim nadeszliście, ja kazałem robotom wykonać wszystkie pomiary — powiedział wyzywająco Haer'rth.

W zazwyczaj tak spokojnych oczach Taave zapalił się na moment gniewny, niedobry błysk — przez chwilę patrzył tak na Haer'rtha, ale nic nie powiedział. Odwrócił się i milcząc

przekroczył próg galerii.

Po kilku krokach od wejścia ogarnęła ich ciemność i Taave wydał polecenie robotom, by zapaliły światła. W tym sztucznym, zimnym blasku, tak różnym od słonecznego, barwy zagrały żywiej, stały się wyraźniejsze i jakby agresywne. Po obu stronach długiego korytarza, wzdłuż ścian, ciągnęły się rzędy przezroczystych prostopadłościanów, w każdym tkwił obraz i chociaż każdy z nich przedstawiał zupełnie coś innego, łączyło je pewne, w pierwszej chwili niezmiernie trudne do sprecyzowania podobieństwo. Po chwili zrozumieli; ktoś wciągnął z sykiem powietrze, ktoś lekko westchnął: to, co łączyło je z sobą, wynikało najwidoczniej z indywidualności ich twórców, tak różnej od ich własnej — przerażająco obcej, niepojętej.

— Chodźmy — powiedział zdławionym głosem Kes.

Posuwali się wolno korytarzem, patrząc na te splątane i niespokojne linie — nawet barwy obrazów wydawały się im agresywne, skłócone. Przyzwyczajeni do sztuki spokojnej i łagodnej jak cały stworzony przez nich świat, patrzyli teraz na twórczość pełną sprzeczności, gwałtowną, niepojętą — jak muzyka, która tak nimi wstrząsnęła przed kilku dniami.

Zbłądzili w jakimś przejściu, po chwili natrafiając na boczne rozgałęzienie galerii — tu sztuka abstrakcyjna ustępowała nagle malarstwu figuralnemu; prawdopodobnie obrazy

pochodziły z innego okresu. Tym razem zaskoczyły ich niespokojne i dziwnie obce w swojej wymowie sceny. Niektóre były zdumiewająco okrutne: czasami cały obraz przerażał odmalowaną w nim sceną okrucieństwa, czasem — chociaż na pozór nie przedstawiał niczego drastycznego — było w twarzach znajdujących się na nim ludzi coś, czego pojąć nie mogli i co budziło ich strach. Szli coraz wolniej, niepewne kroki pobrzmiwały pod betonowym sklepieniem schronu, nikły i gubiły się w ciszy. Drogę zagroził im obraz bardziej okrutny od innych, nieomal całą przestrzeń zajmowała postać mężczyzny, skrzycona w straszliwej agonii; skurcz twarzy, całą mękę człowieka oddano tutaj z najwyższym realizmem, jakby malującemu sprawiało rozkosz tak wierne odtwarzanie bólu, tak drobiazgowo studium konania. **Za** prostopadłością zawierającym ten widok stał drugi, w którym tłumy poczwamych ludzików roili się w obłądnym, rozpasanym korowodzie; w tym tłumie działy się rzeczy okrutne i perwersyjne, których znaczenia nie można było zrozumieć. Na wielu innych obrazach powtarzała się scena, w której postacią centralną był człowiek przybity do skrzyżowanych bali — te także stanowiły wierne studium agonii.

— Straszna jest ta ich sztuka... — szepnęła przystając Aais.

— I to wszystko naprawdę... naprawdę było w nich?

— Nie tylko. To mieli w sobie tak — powiedział Taave, wskazując na kolejny prostopadłościan, w którym twarz młodej matki pochylała się — pełna zachwytu i czułości — nad kędzierzawym dzieckiem. Barwy obrazu były czyste.

Śywe i nasycone.

— Och, Taave, jeśli oni potrafili kochać... Dlaczego to nie mogło uratować ich od nienawiści? Taave nie odpowiedział — przez chwilę jeszcze patrzył w milczeniu, w milczeniu poszedł dalej. Jego uwagę zwróciła zamyślona, kobieca twarz, z ledwie uchwytnym, tajemniczym uśmiechem. Głowa kobiety, odcinająca się wyraźnie od dalekiego, górskiego krajobrazu zdawała się skupiać na sobie całe światło; światłem właśnie operowano tu po mistrzowsku, z wyjątkową wrażliwością i subtelnością. Chciał wskazać ten obraz pozostałym, ale oni nie patrzyli na niego, patrzyli teraz na Haer'rtha: widać było, że ten ledwie panuje nad sobą. Stał, bardzo blady, z zaciśniętymi zębami — kiedy przemówił, wysiłek, z jakim starał się opanować głos, był dla wszystkich wyraźny.

— Nie powinniśmy byli tu wchodzić, Taave. Nie powinniśmy byli patrzeć na tę ich... sztukę. To zbyt przerażające. Czy nie widzisz, że oni byli zupełnie od nas

inni? **Czy** wszystko, **co** widziałeś w tym mieście, nie przekonało cię jeszcze, że między nimi a nami nie może być

nic wspólnego i że nie powinniśmy... wdzierać się w ich

przeszłość? To nic nam nie da, niczego nie nauczy...

— Jesteś zupełnie pewien?

— Jeśli jeszcze tego nie rozumiałeś, nie powinieneś być
dłużej Pierwszym, Taave.

— Nie ty o tym decydujesz.

— Wiem — głos Haer'rtha był napięty i kruchy, jego dźwięk
przypominał pękające szkło. — Mam nadzieję, że ci, od
których to zależy, dojdą także do wniosku, że nie może
przewodzić ktoś aż tak ślepy, nie chcący zrozumieć, jak ty...

— Ślepy?

— Tak. Spójrz tu... i tu... i tu... Czy jeszcze nic nie widzisz?

Jeszcze nie rozumiałeś?

Obraz, który wskazywał, był jednym kłębowiskiem ciał —
splątanych z sobą, walczących, nacierających na siebie
nawzajem; w pierwszej z grup, wskazywanych przez
Haer'rtha, potężnie umięśniony, półnagi człowiek chwycił za
gardło swojego przeciwnika, któremu w tym uścisku oczy
wychodziły już z orbit, w drugiej — dwóch ludzi godziło w
siebie ostro zakończonymi drzewcami. Trzecia
przedstawiała walącego się z konia jeźdźca z porąbaną
ciosami przeciwnika głową. W jaskrawym świetle widzieli z
przerastającą wyrazistością uczucia malujące się na tych
twarzach — tak podobnych do ich własnych, a jednocześnie
tak bardzo różnych, właśnie — przez te uczucia, jakich

w'tym nasileniu nie zaznawał Śaden znany im człowiek. I kiedy tak patrzyli, usłyszeli powolny, cichy, a jednocześnie bardziej wymowny niż krzyk głos Haer'rtha:

— Oni walczyli z sobą. Czy rozumiecie? To oznacza, że człowiek zabijał takich samych jak on. Jak gdyby Śycie nie było wszystkim, co każdy z nich posiadał, i jakby coś innego mogło mieć jeszcze sens poza dążeniem do ułatwienia go innym i sobie — właśnie dlatego, że wszyscy jesteśmy tak podobni i że tak samo odczuwamy ból, rozpacz, strach...

Milczeli długo. Kiedy zdawało się, że nikt nic już nie powie, usłyszeli głos Aais; wpijając się kurczowo w ramię stojącej przy niej Re'noe, mówiła — do wszystkich i do nikogo właściwie — jakby po prostu musiała głośno wypowiedzieć swoje niedowierzanie i strach:

— To przecie... niemożliwe. Nie ma nic, w imię czego... warto byłoby... poświęcić Śycie drugiego człowieka... Ich spieszny odwrót był już właściwie ucieczką — ucieczką w znany, zasiedlony przez ludzi takich jak oni świat, rozciągający się nad labiryntem podziemnych schronów, poza tym miastem. Ale to wcale nie było takie proste; znowu zgubili drogę w rozwidlających się korytarzach — bładzili chwilę, wreszcie w dalekiej perspektywie mignęło imienne światło — widocznie podziemną galerią można było przejść dalej, w inne dzielnice miasta. Przejęci grozą odruchowo

przyspieszyli kroku — myśleli tylko o jednym: wyjść stąd najszybciej, pozostawiając zabezpieczenie odkrytych okazów automatom, odetchnąć czystym powietrzem po dusznej stęchliźnie lochu. Byli już bardzo blisko uchylonych na światło drzwi, gdy nagle jeden z sześciaków, widocznie źle podparty, osunął się na ziemię, pękając z ostrym trzaskiem. Obie połowy rozchyliły się wolno, opadły, odsłaniając cienki, bezbronny w swej nietrwałości prostokąt, ujęty w sztywną ramę, pokryty lśniąca powłoką farby.

— To chyba płótno — powiedział Kes, w którym ciekawość najwidoczniej wzięła górę nad przerażeniem; przystanął, pochylił się nad drzazgami strzaskanej listwy — spomiędzy drzazg zwisały grube, spłowiałe, szorstkie nitki. — Malowali

na płótnie, farbami, które pewnie takśe nie są odporne ani na działanie wysokich temperatur, ani na wilgoć czy teś promieniowanie. Dlatego zanim zdecydowali się wyzwolić siły, które mogły ich zniszczyć, ukryli je w tych prostopadłościanach.

— Zdecydowali się? Więc ty takśe uważasz, śe ten kataklizm wywołali świadomie? — rzucił się Tanith.

— A jak inaczej? — Kes podniósł na niego jasne, zdumione oczy, nie uśmiechał się tak jak dawniej i nagle wszyscy zdali sobie sprawę, śe nikt z nich od bardzo dawna — chyba od chwili odkrycia tajemniczego miasta — nie widział uśmiechającego się Kesa. — **Czy** wszystko, co tu widzimy,

nie świadczy, że tak musiało być?

— Ale to absurd. Po co mieliby to robić? Po co?

— Nie wiem. Ale jeśli ich życie znaczyło dla nich tak mało, że potrafili zabijać się nawzajem... to, widzisz, wszystko jest możliwe...

W ciętym milczeniu opuszczali galerię. Ale za ledwie przekroczyli jej próg, stając w gorącym, letnim powietrzu, które nawet tu, pośród ruin, pachniało morzem i dalekim kwitnieniem traw, zobaczyli jak gdyby dalszy ciąg tego, czego początek zapowiadały jakby zamknięte w przezroczystych prostopadłościanach płótna:

na kwadratowym placu położonym u zbiegu dwóch wąskich, tonących w cieniu ulic, pod szarą, chropowatą ścianą niskiego, równie jak schrony solidnie skonstruowanego budynku, przed zamkniętym na głucho jego wejściem— piętrzyły się szkielety.

Zdążyli przyzwyczaić się do ich widoku, więc sam fakt odnalezienia jeszcze jednego miejsca pełnego ludzkich szczątków nie mógłby ich zaskoczyć. Przerażające było jedynie to, że było ich tak dużo. I było w nich coś jeszcze, w tych kościach ludzkich, rysujących się tak ostro, tak wyraźnie w oślepiającym blasku południa: z ich położenia nietrudno było odgadnąć rozegraną tu niegdyś tragedię. Stłoczone w panicznej ucieczce przed niepojętą, straszliwą grozą

dziesiątki, a może setki ludzi na próśno szukały schronienia: pod zamkniętymi drzwiami dosięgła ich śmierć. Stali bez ruchu, milcząc, przejęci strachem, litością i zdumieniem. W oczach mrowiło — nawet po zaciśnięciu powiek pojawiały się ciągle jeszcze czerwone, nuśące swym monotonnym wirowaniem płatki. Dłonie potniały i zasychało w ustach — przez długą chwilę śadne z nich nie umiało wydobyć z siebie głosu. Potem ktoś kaszlnął, ktoś zaśmiał się histerycznie, nerwowo. Nie odrywając rozszerzonych oczu od spiętrzonych szkieletów Aais wyszeptała załamującym się głosem:

— Co ich... zabiło?

Kes, który cały czas ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w ścianę tajemniczej budowli, zwrócił się nagle ku niej — twarz miał twardą i zaciśniętą jak pięść. Wskazując ręką przed siebie odpowiedział jednym jedynym słowem:

—To.

Spojrzeni w tym kierunku: na ciemnoszarej, pustej płaszczyźnie ściany, tak jak na płycie oglądanej kilka dni temu przez Tanitha i Taave, rysowały się cienie ludzkie. Tylko że teraz było ich bardzo dużo. Bez tchu patrzyli w zatrzymany na zawsze odbiciem cieni zapis tej zbiorowej agonii: ciała upadające na chwilę przedtem, zanim dotknęły ziemi, wyciągnięte w śmiertelnym strachu ręce, którymi na

próśno starali się przed nadchodzącą śmiercią zasłonić,

ciała spręśone w biegu niosącym je donikąd, inne —

skręcone gwałtownym skurczem lęku czy mośe juś —

konania. Milczeli wszyscy, zaczęli rozumieć, podejrzenia

zamieniały się w pewność. W ciszy usłyszeli znów Kesa,

mówiącego powoli i rozwlekle — jak we śnie:

— To samo, co zabiło ich wszystkich, w tych ich miastach... I

co zniszczyło całą cywilizację...

—Cisza zapadła znowu, a potem Tanith odezwał się w tej

ciszy głosem, którego nie mogliby rozpoznać, gdyby nie

wiedzieli, śe mówi właśnie on:

— Nie... To przecieś... niemośliwe. Tym walczyć z sobą nie

mogli. Energii jądrowej... nie mogli uśywać po to... śeby

zabijać...

— Widocznie jednak uśywali jej po to — twardo powiedział

Haer'rth.

Raz jeszcze zapadła cisza, tylko piasek szeleścił osypując

się z murów. Przerwał ją wreszcie Taave:

— Musimy zbadać, co było w tym budynku. Wezwę roboty,

by usunęły kości.

Trwało ponad godzinę, zanim specjalne selektywne

automaty, o wiele powolniejsze od uśywanych do

zwyczajnego pogłębiania wykopów, zdołały przenieść na

inne miejsce zagradzające im drogę szczątki. Upał zelśał, od

nieba ciemniejszego srebrzystoszarym nalotem zmierzchu,
od ścian' wykopu i niewidocznego stąd morza zaciągało
wilgocią i chłodem, kiedy lasery robotów-niszczycieli
cienkimi jak ostrze igły nożami fioletowego blasku zaczęły
ciąć zamknięte od wewnątrz, sporządzone z jakichś
specjalnych stopów, grube pancerne drzwi.

Oczekiwali milcząc, nikt nie myślał o pragnieniu czy głodzie,
choć ostatni posiłek jedli o świcie — to było bez znaczenia.

Ważne stało się tylko powolne ustępowanie drzwi. Gdy
stały otworem i wystygły na tyle, można było wejść do
środku, oczom ludzi ukazały się ogromne komory — jedna
za drugą, jak gdyby w nie kończącej się nigdy amfiladzie.

Zdawało się, że miejsca w nich byłoby zbyt dużo, aby
pomieścić cały odkryty przez nich fragment tego miasta. A
przecież każdy najmniejszy nawet skrawek betonowej
podłogi był zastawiony. Jeden za drugim stały tutaj
przedmioty, których funkcji można się było jedynie domyślać,
czasami tak dziwaczne, że przeznaczenia ich nie dawało się
określić nawet w przybliżeniu. Jeśli korytarz oglądany w
południe mógł być galerią sztuki wytworzonej przez tę
cywilizację — to, na co patrzyli teraz, musiało być jej
muzeum, zawierającym chyba okazy tego wszystkiego, co
— aż do chwili zagłady — uważano za najważniejsze,
najbardziej reprezentatywne. Minęli wolno jedną, potem

drugą komorę przeciskając się z trudem między zgromadzonymi urządzeniami i aparatami, widzieli przedmioty codziennego użytku, jakieś tablice, plansze, modele — niektóre tak zniszczone, że trudno się było domyślić ich kształtu, inne zabezpieczone w przezroczystych kryształach. Robiły wrażenie, jak gdyby przystąpiono do ich gromadzenia realizując na początku ten zamiar spokojnie i metodycznie, dopiero potem, gdy zagrożenie stało się realne, wrzucając resztę pomiędzy tamte byle jak, w kurczowym, histerycznym pośpiechu.

— Po co właściwie oni... gromadzili to wszystko? — spytała cicho Re'noe. Jej szept, odbity od wysokiego sklepienia, dudnił przez chwilę w półmroku komór, póki nareszcie nie zgubił się, nie rozpadł w szelest podobny do odgłosu, z jakim piasek sączył się tutaj z ruin. — Łudzili się, że przetrwają?

— Nie. — Głos Kesa zwielokrotnił się tak, ale oni już nie zwracali na to uwagi. — Nie. Oni wiedzieli, że muszą zginąć. Ale chcieli, by pozostało po nich coś, co mogłoby świadczyć, że potrafili tworzyć, zanim zaczęli niszczyć... Nie zdążył dodać więcej — w tej chwili ściana znajdująca się przed nimi, pozornie ślepa, zaczęła się rozsuwać z suchym, podobnym do odgłosu elektrycznego wyładowania trzaskiem, odsłaniając jeszcze jedną komorę, zupełnie inną od pozostałych. Okrągłe, o łagodnie sklepionym stropie

wnętrze oślepiało białością ścian, rozświetlone jasnym i zimnym światłem, które zdawało się promieniować zewsząd, z całej powierzchni. W tym blasku widać było bardzo dokładnie czarny, smukły obelisk — wokół jego podstawy leżało kilka ludzkich postaci. Tym razem nie były to szkielety: w suchym, prawdopodobnie pozbawionym mikroorganizmów powietrzu hermetycznej komory wyschły i skurczyły się tworząc szarawe mumie, a teraz, w chwilę po otwarciu drzwi, zaczynały rozpadać się na oczach skamieniałych ze zdumienia archeologów. Ktoś rzucił się w ich stronę, inni pobiegli za nim. Ale tu nic nie dawało się zrobić, z szarego pyłu świeciły już tylko kości, nie różniące się wcale od wszystkich innych szkieletów porozrzucanych tam, na placu przed schronem, i na całym terenie miasta. Tyle, że ci leżeli całkiem spokojnie, w układzie ciał nie było męki i lęku — ich śmierć była widać lekka i zaplanowana, przyjmowana bez bólu, jak gdyby nawet w momencie ostatecznej zagłady całej cywilizacji ci ludzie uzurpowali sobie specjalne prawa, jak gdyby te, które rządziły całym ich społeczeństwem, nie mogły ich dotyczyć. Taave schylił się nad najbliższym: pomiędzy zaciśniętych obnażonych zębów sterczały lśniące odłamki potrzaskanego szkła.

— To byli ich przywódcy? — spytała szeptem Aais.

— Tak, chyba...

— To byli źli przywódcy, jeśli nie zdołali zapobiec temu, co się stało... Jeśli nie potrafili ich uratować!

— Aś do ostatniej chwili myśleli tylko o sobie, Aais... Chyba przez całe życie działali też w ten sposób: we własnym interesie, nie w interesie swojego społeczeństwa... Kes chciał jeszcze coś dodać, ale nie zdążył: światła przygasły, a potem rozszarżyły się znowu, jeszcze intensywniejsze; musieli zmrużyć oczy. Drgały rytmicznie — w tych pulsujących światłach czarny obelisk silniej niż przedtem przyciągał wzrok, skupiał na sobie całą uwagę patrzących. To nie mógł być przypadek — takie wrażenie musiało być zaplanowane przez konstruktorów tego bunkra-

—muzeum, mającego służyć za ostatnie schronienie nielicznym i wybranym przed kataklizmem. Gdy tak patrzyli, obelisk drgnął, z trzaskiem obracając się wokół swej osi, spod jego sześciokątnej podstawy trysnęło białe światło, oświecając ściany, których blask ciemniał, roztopiał się i znikł — już zbędny wobec tej powodzi nowego blasku. Pod sklepieniem komory rozległ się nagle głos: spokojny, monotonny głos dorosłego mężczyzny, mówiącego w nieznanym im języku. To było tak, jakby obelisk oświadczył, by opowiedzieć im — urodzonym po setkach lat — o pokoleniach tego samego gatunku, które przygotowały sobie same zgubę i zginęły — równie gwałtownie, co

niepotrzebnie. Przez kilka sekund milczeli, za bardzo zaskoczeni, zasluchani w ten głos, który wznosił się i opadał, w nieznane słowa dawno umarłego języka, którego ślad nie pozostał nawet na najstarszych glinianych tabliczkach. A potem, nagle, niemal w tej samej chwili wszyscy przypomnieli sobie o kilkudniowych wysiłkach Re'noe i możliwościach automatycznej przystawki językoznawczej ich centralnego elektromózgu. Ktoś krzyknął:

— Łącz z analizatorem, Re'noe! Krótco, zgrzytliwie szczechnął włączany spieszącą się, nerwową ręką przełącznik automatu; przez chwilę była cisza, jak gdyby analizator namyślał się, zastanawiał — aŜ wreszcie w pustce białej, zalanej oślepiającym światłem sali rozległ się mechaniczny, płaski i obojętny głos tłumaczącego robota, nakładający się na tamten, ludzki:

— ... podzieliliśmy nasz świat na strefy wpływów, które nie potrafiły koegzystować z sobą. Brak terminu, chodzi chyba o jakieś jednostki administracyjno-etniczne — prześcigały się w... — brak terminu, być moŜe chodzi o gromadzenie środków do walki — wydając na to w końcu trzy piąte dochodu narodowego. Brakowało funduszków na rozwój budownictwa, przemysłu, ochronę zdrowia... Rolnictwo podupadło, tysiące ludzi umierało z głodu. Ale wciąż trwała — brak terminu — i wciąż doskonalono broń. Wynalazki

dokonywane w ostatnich dziesięcioleciach

zmierzały już tylko do tego: stworzyć doskonalszy i szybciej działający system — brak terminu, chodzi chyba o napaść — niŜ mógłby mieć przeciwnik...

Głos ucichł na krótką chwilę, jakby mówiący się namyślał.

Ktoś szepnął — nie rozpoznali głosu.

— Nie przyszło im do głowy, Œe mogliby się z sobą... po prostu — porozumieć??

Nikt mu nie odpowiedział, na to pytanie nie było odpowiedzi.

Zresztą głos mówił znowu:

— Ten wyścig doprowadził do zgromadzenia po obu stronach sił, które są nie do opanowania i w kaŒdej chwili mogą wymknąć się z rąk. Teraz pozostało nam tylko jedno: czekać... Jesteśmy całkowicie bezradni: wszystko gotowe, ktoś wreszcie pierwszy naciśnie guzik wyzwalaający

— brak terminu — a wtedy musi rozpętać się — termin nieprzetłumaczalny. To moŒe stać się zupełnie

przypadkowo, wystarczy chwila nieuwagi, pomyłka

komputera, fałszywa informacja, zwykły atak hysterii... Znów

była chwila ciszy; w tej ciszy usłyszeli ponownie zdumiony i przejęty głos Aais:

— **Czy naprawdę musieli walczyć? AŒ do zupełnego wyniszczenia? W imię czego?**

— MoŒe w ich świecie było coś, co — przynajmniej niektórzy

z nich — byli gotowi zdobyć za każdą cenę. Za każdą cenę,
Aais.

Jakby odpowiadając im głos podjął znowu swoją opowieść,
którą automat przekładał skrzeki i wie i beznamiętnie:

— ...Śadna ze stron nie zrezygnuje z walki o władzę —
władzę nad naszym światem... Kiedy nasze — terminu brak
— spadną na ich miasto, oni odpowiedzą tym samym. MoŜe
to zresztą oni będą pierwsi — nie my... To nie ma
praktycznego znaczenia. Wiemy, Ŝe to się zacznie, Ŝe moŜe
zacząć się dziś czy jutro — właściwie — w kaŜdej chwili.
Wtedy juŜ nic nie uchroni nas od zagłady. Dlatego tutaj, w
tym mieście od lat uważanym za centrum naszej kultury,
zgromadzono to wszystko, co uznaliśmy za najwaŜniejsze
dla zilustrowania drogi-naszego rozwoju, naszej nauki, sztuki
i techniki. MoŜe przynajmniej część przetrwa i będzie
świadczyć o nas, moŜe los nasz stanie się ostrzeŜeniem...
Umilkł, światła przygasały powoli. Nikt nie poruszył się, nie
miał odwagi odetchnąć głóŝniej w zapadającym mroku. A
potem męŜczyzna odezwał się raz jeszcze, mówiąc tym
razem tylko kilka słów, z których to pierwsze powiedziane
zostało bardzo wyraźnie, z naciskiem, jakby mówiący chciał
— niezależnie od tego, czy jego język moŜe być
zrozumiały dla przyszłych słuchaczy — wbić je na zawsze w
ich pamięć. Odmierzany, mechaniczny głos analizatora

przełoŜył to bezbarwnie:

— Słowo-nazwa bez odpowiednika. I data. Według przyjętej przez nich rachuby czasu: dwa tysiące siedemdziesiąty siódmy rok...

— Co moŜe znaczyć to słowo? — szepnęła Re'noe.

— MoŜe tak nazywało się to miasto, a moŜe było to imię człowieka, który do nas mówił, imię znaczące dla nich wiele... — odpowiedział w zamyśleniu Taave. — Tego nie wiemy i nie dowiemy się nigdy. Zginęli tak zupełnie... W naszym języku, historii, nawet w naszych podaniach nie pozostał po nich najmniejszy ślad...

...powracał wciąż ten sam motyw — triumfalnie, uparcie i nagłaco, by znowu władczo zapanować nad wszystkim. Była w tym jakaś niepojęta potęga; ów motyw był jak natura, jak los... Nie: jakby człowiek w swoim upartym dąŜeniu dokąds — szedł i upadał, i podnosił się znowu... Taave zaciskał powieki; oparł głowę na rękach — pełen jakiegoś niepokoju, a jednocześnie: zafascynowany, przejęty, jak wtedy, gdy słuchał pierwszy raz. Nie spostrzegł, Ŝe drzwi do małej salki otwierają się wolno, nie zauwaŜył stojących w nich Haer'rtha i Aais.

— Znow tego słuchasz. Ta ich muzyka opętała cię, Taave.

Poderwał się gwałtownie, przez chwilę patrzył na nich tak, jakby wracał z bardzo daleka, jakby ich nie poznawał.

Powiedział — jeszcze niepewnie:

— Wydaje mi się... jakby cała ich sztuka mówiła o czymś, czego nie rozumiemy, ale co jest w nas tak? Chwilami sędę, że moglibyśmy się od nich niejednego nauczyć. Ich wiedza o człowieku była większa od naszej...

— Od początku przeceniałeś wagę tego odkrycia. Dlatego popełniałeś błędy — jeden za drugim. Niczego nie możemy się od nich nauczyć. Byli szaleni. Zniszczyli samych siebie.

— Tak. Ale rozumieli, że to, co w końcu doprowadziło ich do zagłady, było w nich samych. Dlatego postanowili przestrzec tych, którzy przyjdą po nich. żeby nie popełnili tych samych błędów.

— My ich nie popełnimy.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Pomiędzy nimi a nami nie ma żadnych podobieństw — poza tym jednym: że zbudowali cywilizację dorównującą naszej. Byli agresywni. Okrutni. śadni władzy. Walczyli ze sobą — co w naszym społeczeństwie nie mogłoby się zdarzyć.

— Byli inni. Na pewno. Ale że dlatego, że zginęli... my już mogliśmy nauczyć się... nie zabijać.

— Jak to rozumiesz?

— Haer'rth, pomyśl: ci z nich, którzy przetrwali, musieli jednak rozumieć, do czego prowadzi nienawiść i jak daleko

może dojść człowiek, jeśli uzna walkę za sposób
załatwiania swych spraw. Może to oni ułożyli Przykazania
Współpracy, stworzyli społeczeństwo uczące się ich na
pamięć, przekazujące je następnym pokoleniom — póki nie
potrafiło zapisać ich, utrwalić — żeby zapamiętać. żeby już
nigdy... Może dlatego nasze dzieje są historią harmonijnego
rozwoju, bo oni zapłacili tę cenę. **Za** siebie. Ale i za nas także... Twarz Haer'rtha była chłodna,
zamknięta — nic z

tego, co Taave mówił, co mógłby jeszcze powiedzieć, nie
trafiało do niego; był zbyt pewny siebie, własnej
nieomyślności, by czyjeś kontrargumenty brać choć przez
chwilę pod uwagę. Gdy się odezwał, głos miał tak samo
odpychający jak twarz.

— To jeszcze jedna z twoich szalonych hipotez? Przyznam

— nie myślałem, że mógłbyś posunąć się aż tak daleko. Ale
nie będziesz miał już więcej okazji, żeby je innym narzucać.

— Narzucać?

— Tak. Sam fakt, że byłeś Pierwszym i że myślałeś w ten
sposób, nie mógł być bez znaczenia dla innych. I wyznaczał
kierunek prowadzonych tu prac.

Z tego wszystkiego tylko jedno słowo wydawało się ważne.

Taave pomyślał, że może się przesłyszał. Zapytał:

— Byłem? Co to ma znaczyć, Haer'rth?

— To proste. Mówiłem ci, że złożyłem zażalenie do Rady.

Uznano jego słuszność. Nie zasłużyłeś na to, żeby być

Pierwszym dłuŝej. Dziś rano przyszło pismo odwołujące
ciebie... Moŝesz je w kaŝdej chwili zobaczyć. Ręce Taave
uchwyciły brzeg biurka, zacisnęły się na nim, aŝ pobiełały
kostki palców. Lecz kiedy się odezwał, głos miał ciągle
spokojny, być moŝe tylko nieznacznie wysiłony.

— Jeŝeli dobrze pamiętam... taką decyzję uzaleŝnia się od
stanowiska zespołu. A nie —jednego człowieka...

— Masz rację. **Od** stanowiska zespołu. — Haer'rth zrobił
małą i efektowną przerwę, nim dodał z satysfakcją: —
Wszyscy są tego zdania.

Taave nie popatrzył na Aais — juŝ samo to, ŝe tu przyszła,
znaczyło, ŝe jest po stronie Haer'rtha. I ŝe ją stracił. Więc teŝ
zaprzątało go coś innego. Zapytał:

— Wszyscy? Takŝe i... Tanith?

— No, na Tanitha ty zawsze miałeś zły wpływ. Ale to
skończy się — teraz.

— Rozumiem. — Oczy Taave nie wyrażały ŝadnych uczuć,
były bardziej niŝ kiedykolwiek spokojne i skupione, tylko na
wargach zjawił się ledwie dostrzegalny, szyderczy grymas.

— Czy mogę wiedzieć, kto został mianowany... moim
następcą?

— Tak, oczywiście. Ja.

Nie wiedział, ŝe to uczucie moŝe być tak gwałtowne, tak
trudne do opanowania. Prawie fizyczny ucisk, bolesny, ostry

— świadomość utraty czegoś, z czego znaczenia aŜ do tej chwili nie zdawał sobie sprawy — czy tylko potęgująca się jak nigdy dotąd niechęć do Haer'rtha? Milczał. Przez chwilę była cisza — bardzo głęboka, w której słyszało się przyspieszone oddechy dwóch męŜczyzn. Patrzeli na siebie bez słowa, nieruchomi, jak gdyby przyczajeni w owej nieruchomości. A potem Taave powtórzył (szyderstwo było teraz równieŜ i w jego głosie):

— Rozumiem. — Odetchnął cicho, niemal niedosłyszalnie.

— Długo czekałeś na taką okazję, prawda, Haer'rth?

Haer'rth nie odpowiedział. Być moŜe uwaŜał, Ŝe nie musi, Ŝe

— wreszcie — moŜe pozwolić sobie na okazanie odrobiny lekcewaŜenia. Mierzyli się oczami, było tak, jakby czas nagle zatrzymał się dla nich obu, jakby nic nigdy nie miało juŜ być waŜne, jak gdyby wszystko, co kiedykolwiek zdarzyło się czy miało zdarzyć między nimi, było tu, teraz, w tym zmaganiu się oczu. Wreszcie Haer'rth rzucił — wyzywająco i twardo:

— Decyzji Rady musisz podporządkować się, Taave. Nie masz innego wyjścia.

Tamten nie odpowiedział. Nie mógł. Nawet nie dlatego, Ŝe coraz gwałtowniejsze, chaotyczne uczucia, nad którymi juŜ nie panował, utrudniały myślenie, uniemoŜliwiały układanie sensownych zdań. Coś innego skupiło jego uwagę. W ogromnym zdumieniu wpatrywał się w swoje ręce, leŜące

ciągle jeszcze na gładkim blacie stołu: bez Śadnej jego myśli i bez udziału woli, nie znanym dotąd, atawistycznym ruchem prawa powoli zaciskała się w pięść. Haer'rth patrzył na nią takŚe. Nagle, zupełnie chłodno i spokojnie pomyślał: „Jest niebezpieczny. Inny. Jest w nim to samo, co w tamtych... on takŚe w kaŚdej chwili moŚe stać się zagroŚeniem dla wszystkich. To, co w nim jest, moŚe być jak choroba. JeŚeli się rozwinie — zagrozi nam, naszej cywilizacji". I równie chłodno, tak samo precyzyjnie, bez zaciętrzewienia czy gniewu (nie zdając sobie sprawy, Śe to jest wyrok — tak jak wciążŚ nie rozumiał, Śe nawet siebie oszukuje w tej chwili): „NaleŚy się go pozbyć. Pozbyć radykalnie. W imię ludzkości — takich jak on powinno się usuwać".